



# NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 16 października 1955 r.

Nr 42 (290) Rok VI

TADEUSZ DREWNOWSKI

## NOCE I DNI TRZECIEJ JESIENI

**Z** dawna wyczekiwany, ukazał się obecnie zbiór utworów Marii Dąbrowskiej, pierwszy po wojnie, jeżeli nie liczyć dramatu historycznego „Stanisław i Bogumił”, który przed laty przeminął bez szerszego echa, i nie mnożyć pozycji przekładowych, cieszących się ustaloną renomą.

Na tom ten składają się dwa obszernie opowiadania, które po publikacji w czasopiśmie zyskały duży rozgłos, oraz kilka utworów mniej znanych lub wcale. Ta druga grupa pochodzi z lat wcześniejszych, kiedy nie odczuwało się żywszego udziału Marii Dąbrowskiej ani w życiu publicznym, ani literackim. Ze czytamy je dziś z tym większym zajęciem — mierna to satysfakcja. Są to jakby notaty z dziennika pisarki, różne zresztą w sposobie ujęcia — od luźnych wspomnień i spostrzeżeń do utworów przybierających bardziej skrytykowaną nowelistyczną formę („Noce i Dnie”, „Pani Zosia”).

Jak dowiadujemy się z wywiadów z pisarką, lata powojenne pochłaniała jej praca nad nową obszerną powieścią. Nadzieja na nową „Noce i Dnie” końcowych lat międzywojennego dwudziestolecia i okupacji aż po próg nowej epoki, spędza, naturalnie, sen z oczu i utrudza naturę Dąbrowskiej. Ale po co wróżyć z fusów, czyli z dziennikarskich perspektyw. Wspominam o tym z tej tylko przyczyny, żeby we właściwy sposób spojrzeć na garść drobnych utworów „Gwiazdy zarannej”, kłopotliwych ze względu na ich dorywczość i rozmaitość. Zmusza to krytyka do jakiegoś „na wrywki”.

Zebrałem tutaj fragmenty, drobniaki — to utwory bardziej kameralne, osobiste, ściśle związane z przeżyciami i doznaniem pisarki. Pisząc o dniach niewolności, o świecie trzeciej niepodległości napomka w nich często Dąbrowska o nocnych rozruchach rozmowach, o wielkich tematach, jakie ludziom z ust nie schodziły. Doremnie poszukiwalibyśmy tutaj podjęcia tych „wielkich tematów”, pozostała ona poza naszym opisem „Pielgrzymki do Warszawy”, żywej krzątaniny na zgłuszonych miastach, a potem powracającego rytmu normalnego życia. A jednak zadrażało mi pióro przed określeniem tych utworów jako marginesów. Nie tylko dlatego, że cofnąłem się przed określeniem tym

mięciem świetnej prozy. Dąbrowska nawet w najbardziej osobistych przypadkach odczuwa światnie, to, co łączy jej perypetie z ogólnymi, umie grać na strunach ogólnonarodowych. Ta struna jest przede wszystkim „miasto niepokonane”. W „Pielgrzymce do Warszawy”, w okazjonalnych wspomnieniach „Tu zaszła zmiana” znajdujemy poruszającą serce kronikę miasta, w „Jesien” i „Pani Zosia” — szkice do psychologii zbiorowej, w „Noce i Dnie” — ale o nich napiszę szerzej. Dlatego nawet te drobniaki nie mają wspólnego z „memuarami” z prywatnego życia, żyjącego w odosobnieniu artysty. Z rozmysłu pominałem we wstępnych wyliczeniach „Dziecko” i „Poranek w ogrodzie zoologicznym”, gdyż te „bukolice poranki cudnej bez troski” odbiegają charakterem od pozostałych. „Rzeczy te nie należą do wielkiej historycznej inscenizacji pałacu świata. Lecz istnieją i domagają się utrwalaenia. Są rozkoszne.” — pisał Dąbrowska. Ich odkrywczość jest, istotnie, innego rodzaju.

Lubię bardzo zagłębiać się w lekturę utworów bliskiego mi pisarza, utworów właśnie tego typu, co zgrupowane w „Gwiazdę zaranną”. Rzucają one często ostrzejsze światła na rozumienie sztuki, na metody, na styl niż utwory bardziej skończone artystycznie, zapięte na ostatni guzik. Tak jest z niejednym drobniakiem „Gwiazdy zarannej”.

### II

Twórczość Dąbrowskiej nastrożala okazje do rozpisywania się o epice, o sztuce epickiego spojrzenia, o szerokiej płótnach życia. Rytmika tego gatunku jest jedną z najbardziej frapujących kwestii estetyki również naszej epoki, epoki „Czarnodzielskiej góry” i „Cichego Donu”. Ale ilekroć zagłębiałem się w obfite elukubracje krytyki dawniejszej i nowszej z powodu „Noce i Dnie” ogarnia mnie zniechęcenie. Czyżby nie dało się nie przejrzyściego na ten temat powiedzieć? Czytam „Noce i Dnie” jak wyznanie epikarealisty.

Jest to nowela z czasów wyzwolenego rozgardiaszu, w którym wielkie poruszenia wojsk, wędrowki ludów mieszały się ze śmieśkami — przez ich „prywatność” — zabiegami i dramatami jednostek. Ten obraz we wspomnieniu Dąbrowskiej porusza jej wyobraźnię. Ten obraz decyduje, że w „Noce i Dnie” pisarka daje nam coś więcej nad

dokumentarny zapis zwykłej w tym czasie przygody.

Dąbrowska nie lubi gołej symboliki, a jednak tutaj nieomylnie sięga do palety symbolicznych środków. Pociąg, którym w zimową noc wypadło pisarce podróżować po lewo co wyzwolonej Polsce, stylizuje właśnie na „pociąg-widmo”, pchany heroiczną siłą ku patetycznym swym celom. Ow symboliczny „pociąg-widmo” nadaje ceweli atmosferę. Spotkanie z dwu żołnierzami Armii Czerwonej z obsługi pociągu teln już najwykleszym tokiem codzienności. Z nennego mroku wydobywa pisarka ich postaci, ich charaktery na pełne światło, choć czyni to z mistrzowskim lakonizmem. Ci przygodnie spotkani ludzie są kilku słowami wyposażeni w subtelną różnorodnością w ludzkie cechy — w pożądania, upodobania, lęki. Występują zrazu w „historycznej” roli eskorty pociągu-widma, z czasem najbardziej intymnie, po ludzku jako dwaj wojacy, którym za wcześniej byłoby umierać, „choćby ceną tej śmierci miało być zdobycie Berlina”. Cóż za okazja dla sentymentalno-patetycznych zachwytów nad herosami wojny! Ale ten styl jest najbardziej przeciwny naturze stylu Dąbrowskiej. Z surowości, z wiernością groźnej chwili i miejscu, z przewyższeniem obcości i obojętności między ludźmi — bierze się jakiś szczególny humanizm, jakiś wyjątkowo ciepło opisanie sceny.

Dwie płaszczyzny „Noce i Dnie” — raz jeszcze podkreśla Dąbrowska w finale noweli. Pisze: „Historyczne zdarzenia, bohaterskie wysiłki, niewyłącznie losy, wielkopomne przewroty — wszystko było w owym czarnym pociągu, zdążającym na front. I byli w nim także Fiedia i Aleksiej, dwaj prości ludzie, którzy zostawili smutek dobrego wspomnienia w moim sercu. Dla mnie to było wtedy dużo.”

Nowela zbudowana jest na kontraście wielkości i małości, patosu i powściągnięciu, historii i życia — zdaje się mówić o płynności tych pojęć. Właściwością epiki jest spletnianie potoku życia, aż do rozłożenia tkwiących w nim sił wulkanicznych, aż do wyzwolenia z powszedniości patosu dziejów. Z konfrontacji „dwóch prostych ludzi” i „wielkopomnych przewrotów”, „życia” i „historii” rodzi się trudny realizm wielkiej epiki. Potwierdza to najlepsze partie „Noce i Dnie”. W „Noce i Dnie” to dwa nurty biegną do siebie równolegle na

prawach nowelistycznego skrótu. Łatwo w nim podpatrzeć tajemnicę epiki, gdyż epickie założenie jest tu niejako pokazowo rozłożone na elementy proste. Ale potężny efekt obrazu zawiązuje właśnie wyobraźni epiki. Służy ona szlachetnemu celowi. To w naszej literaturze prawdziwie ludzki hold oddany naszym wyzwolicielem.

### III

Do innych refleksji pobudza „Jesienka”, „Pani Zosia”. Są to literackie przyczynki z dziedziny psychologii zbiorowej. Swego czasu literatura gustowała w „charakterach”; w miarę rozwoju psychologii w literaturze mnożyły się serie studiów charakterologicznych, a nawet montowano z nich całe powieści. Dziś widzimy, że mało z nich pozostało w literaturze na samodzielnych prawach, gdyż gubiąc się w odmętach psychologii, w odruchach wrażliwości rzadko posiadały samostojną wartość uogólniającą.

W ostatniej „Kartce z dziennika” Jerzy Andrzejewski zanotował refleksje nad antologią polskiej martyrologii, przygotowaną dla zagranicy. „Lekturze „Wiecznej pamięci” — pisał Andrzejewski — wciąż mi towarzyszyły natarczywe pytania: coż my wiemy o zmianach zwłaszcza tych jak włos, jak pył nikłych, które dokonywały się w nas w zetknięciu z faszyzmem? Jakże ślady po tamtych latach pozostały w naszych umysłach? I czy mogliśmy w porę leczyć wszystkie rany, okaleczenia i zadraśnięcia?” O jednej z ran psychicznych, odniesionych w zetknięciu naszym z faszyzmem, ran „o prawdę mniej nikłych niż włos czy pył”, mówi przypowieść starej Franciszki pt. „Jesienka”. Oprócz nowelistyki Adolfa Rudnickiego znam tylko nowelę Zawiejskiego poświęconą temu istotnemu zagadnieniu z zakresu psychologii społecznej. Zresztą, nie jest to może zupełnie wiernie: gdyby pogrzebać znalazłoby się więcej świadectw w literaturze powojennej, choćby w „Popiele i diamentach”. Ale też i m.in. temu zawdzięcza ta powieść niepowolną barwę.

„Pani Zosia” — to wspomnienie o przelotnej znajomości z okupacji, zapobiegliwej osobce, która zginęła w warszawskim powstaniu. Na pół ironicznie kreśli Dąbrowska jej portret — nowy kapelusik, nauka angielskiego, wynikająca z przeżońności, handelek mąką, który zresztą nie nastarcza na domowe potrzeby. Słowem — ktoś jakby z półświatka „Pożegnania z Marią”, ale przedstawiony bez drastyczności, w jakiej się lubował Borowski. Bo też celem Dąbrowskiej nie było wyłącznie demaskatorstwo. Przeciwnie pani Zosia okazuje się posiadaczką większego zapasu broni w ogródku podmiejskiej willi; na półpiętrze posiada radio, które obsługuje Żyd; na złamanie karku gna specjalnie wynajętą ciężarówką do Warszawy w ostatnim dniu lipca 1944 w obawie, czy aby zdąży na porę. „Wielkie wypadki” nie mogły się bez niej obejść. Zdażyła. Zginęła. Duch pani Zosi tuła się po granicy głupoty i bohaterstwa, śmieśności i tragiczności. „My wolimy umrzeć niż myśleć. Wolimy umrzeć dla jakiejś sprawy niż ją przemysleć” — pisał z gorącością Dąbrowska w rozważaniach o patriotycznej myśli Prusa. „Pani Zosia” jest jednym jeszcze z naszej literatury studium „szaleństwa polskiego”, które często stawało się tragedią naszej historii, naszej niedalekiej nawet historii, tej na odległość wspomnienia.

Po wielokroć zdumiewa mnie nieomyślność psychologii u autorki „Gwiazdy zarannej”, psychologii, tak dalekiej beztróskim harcom psychologów. Historia wiąże się tu z psychologią, staje się żywą tkanką wnętrza jednostki. Psychologię osób oddawia Dąbrowska ze ścisłością, chciałoby się rzec, preparatu. Jej psychologiczne portrety są wyposażone w ciężkie kilogramy uogólnień. Nie chce się nierzaz wierzyć, że kruche okazy ludzkiego gatunku mogą je podźwignąć na swych barkach. O podobne odkrycia i zdumienia przyprawiła człowieka tylko dobra literatura.

### IV

Osobny rozdział stanowią dwa opowiadania ostatnie — „Trzecia jesień” i „Na wsi wesele”. Były one rewelacją w naszym życiu literackim. Wywołały polemiki, kłótnie. Mają już swoją „prasę”. Mówiąc o nich krytyk nie porusza się po terenie dziewiczym, nie wszystko co powie jest pierwszym słowem, pierwszym diagnozą, pierwszym sprawdzeniem. Stąd korzyści, ale i kłopoty. Pozycja Marii Dąbrowskiej w dwudziestolecie była osobliwa. Przy dość powszechnym zachwycie, Dąbrowska, nie stroniąc zaskądinąd od zagadnień aktualnych, traktowała po trosze jako zjawisko niewspółczesne. Aurę wokół zjawiska „Dąbrowska” ugruntuował sceptyczny stosunek pisarki do nowinek literackich, które wypełniały hulaśliwie międzywojenne czasy. Autorka godziła się jakby z tą kwalifikacją — sama odrzucała pieczęlowicze swą publicystykę od twórczości, w twórczości trzymała się na ogół regionów tematycznych dalszej czy bliższej przeszłości. Niemalże od „Ludzi stamtąd”, czyli rzeczowego debiutu, w opinii krytycznej przeważa ton, jakim się mówi o żyjącym klasycy (Maciąg więc w swej aktualnej monografii nie jest pionierem). Tak się tym tonem przejęto, że dalsze części „Noce i Dnie”, zbliżające ku współczesności, przyjmowano trochę jak dystrakcję w wizerunku już niemal ustalonym, zamkniętym. Po wojnie takiemu stosunkowi wobec Dąbrowskiej sprzyjało jej wieletnie milczenie. Ni stąd ni zowąd wybuchła „Trzecia jesień” i „Na wsi wesele”.

Czemu przypisać, że utwory te znalazły się w samym centrum aktualnych sporów? Anachroniczności życia literackiego, czy żywotności zjawiska? Mniemam, że przede wszystkim temu ostatniemu. „Wielkim pisarzem zostaje się dlatego — pisał Dąbrowska w studium o Prusie — że ma się zdolność do wydobycia typowych, istotnych i wartościowych tematów z jakiegokolwiek szczegółu rzeczywistości, który przejdzie przez oczy, uszy, czy osobiste doświadczenie życia. Żadne studia w ternie, celowo zamierzone i z góry zakładające, że chcemy albo powinniśmy zobaczyć, nie mogą gwarantować rzeczywistości, artystycznego przeżycia ani powstania trwałego utworu literatury. Droga jest odwrotna...”

Z pierwszego pod ręką „szczegółu”, kamienicy, w której mieszka, wyprowadza pisarka „Trzecia jesień”. Kamienica, podwórko, działki, jakieś doniczki ziemne, jakieś nasiona — co to, u licha, ma wspólnego z „konfliktami epoki”? Zważony szaryzma i marginesowości osób, zdarzeń i działań (a także przejściową atmosferą w literackim światku) Greń okrywał to minimalizmem, nie liczącym z maksymalistycznym duchem czasu, z maksymalistyczną ambicją naszego pisarstwa. Trafiał kulą w plót! Taką samą nowelą napisana została niebawem nowela „Na wsi wesele”, z jej powodu nikt już nie baka o jakowymś minimalizmie. Rzeczywiście zawiadła metoda, ale w rozumowaniu krytyki.

Nowa twórczość Marii Dąbrowskiej nie tylko zbiegła się, ale i przyszła w sukurs głębokim przeobrażeniom, jakich w literaturze dokonujemy. Sukurs przyszedł z właściwej strony — od strony wypróbowanego realizmu. Ze realizm polega na pełnej poznawczości, że jedynie pełny obiektywizm daje pełen wymiar sprawom ludzkim, że artysta nie tylko mówi o epoce, ale tworzy epokę — zapewne, te odkrycia są stare jak świat. Odkrycia są stare, ale odkrywana z ich pomocą epoka nowa, socjalistyczna, bez precedensu we własnej historii. Manifesty — jedno, praktyka — rzecz inna. Nikt prawdopodobnie nie zauważyłby programu włoskich neorealistów, mało, prawdę mówiąc, przynoszącego nowości, gdyby nie efekty na ekranie.

Nowele te powstawały poza formułkowo — schematową wiedzą o współczesności, z jaką oswojało nas wiele książek. Fryzjęto jako protest przeciw „łatwej rezygnacji z własnych oczu i uszu, z głosu własnego sumienia, w czym odnaleźć można przyczynę niejednej pisarskiej klęski i porażki”. (J. Andrzejewski).

Klemens Lohojński z „Trzeciej jesieni” jest człowiekiem wartościowym, który wskutek społecznych okoliczności zszedł „na dziady”, stał się „rupieciami ludzkim”, a obecnie odnalazł się, a właściwie ustrój Polski Ludowej go odnalazł i spożytkował. „W dobrym gospodarstwie każdy rupień się przyda. — Lohojński powtórzył ulubione przysłowie. — I przydałem się. Może nawet przestanę być rupieciem” — zaśluszył młodym uśmiechem. Ponieważ ścieżki, którymi Lohojński doszedł, prowadzi z daleka — z marginesu „zbędnych ludzi”, wykołojonych przez kapitalizm, z utrzymujących się nadal środowisk na pół drobniomieszczańskich, na pół lumpenproletariackich „Trzecia jesień” zaświadcza, jak głęboko idzie przez społeczeństwo orka przemiany, skoro zagarnia ona nawet ludzi stylu Lohojńskiego. Jest to niejako wypadek ekstremalny, jemu może należę zawiązać szeroki zakres nowelistycznego uogólnienia. Czytelnicy podstawiają pod nie nawet sprawy, do których tekst nie upoważnia. Np. Paweł Jasienica w sprawie Lohojńskiego widzi metaforę obejmującą całą „wewnętrzna emigrację”.

Ow „jakikolwiek szczegół” nie jest, naturalnie, dziełem przypadku, na wybór pi-arki złożyły się specjalne inklinacje ideowe. Znamienne, że Dąbrowska wchodzi na nowo w szranki literackie z hasłem „troski o człowieka”, owego, jak pisze, „magicznego słowa”, „troska o człowieka” tak często zawodzącego w konkretnych wypadkach życia. Lohojński przejdzie przez czyste biurokratyczne próby, zanim wniknie w „pracowsko posłup”. Ten człowiek, oficjalnie nie istniejący, mógł się wymanewrować przez zbyt szerokie okno, Dąbrowska przemawia za troskliwością wobec człowieka wysowobodzoną z rygorów formalistki. To jednak nie fuks, że Lohojński nie przeleciał przez sieć jak płotka.

Alie nie o pełną charakterystykę inklinacji Dąbrowskiej chodzi mi w tej chwili. „Trzecia jesień” bardzo bogato i bardzo rzeczowo mówi o tym, jak socjalizm w s c h o d z i w życiu. Gwoździowie. Strojni, majstrowie „ze złotą ręką”, mieszkający stróżówki przy ulicy Polnej, bezpartyjni inteligenci Osiecy, robotnik z Ursusa z „czujnym” usposobieniem, milicjanci — ludzie dalecy i bliscy socjalizmowi, ale wszyscy w tej czy innej formie uczestniczący już w jego sprawach. Pisarka daje niejako sprawdzian funkcjonowania idei między ludźmi. Śledzi, jakie konflikty moralne wynikają lub towarzyszą realizowaniu socjalizmu. Nie pochwała stanu jakim być powinien, lecz patrzy jak jest i ku czemu idzie. Nie głosi szczytych zasad, lecz sprawdza w społecznej praktyce ich ludzki sens.

Nie jest moim zamiarem zestawiać jakiś kodeks cnót rewolucyjnego pisarza, który się na tym z pewnością nie wyczerpuje. Opisuję podejście Dąbrowskiej do problemów teraźniejszych. Piszę o tej perspektywie „Trzeciej jesieni”, która wydaje mi się ważna dla literatury współczesnej. Piszę o tym co jest niezbędnym w a r u n k i e m jej żywotności, jej rewolucyjności.

Jeszcze bogatsze żniwo obserwacji i przemyśleń przynosi „Na wsi wesele”.

### V

Jest to utwór szczególnego pokroju, utwór — rozrachunek. Klasycznym okazem tego rodzaju było w naszej literaturze „Przedwiośnie”. Ostatnio na podobną modłę zbłusowała opinię naszych krajów „Odwilż” Erenburga. Utwory takie mają sobie właściwe prawa, są podporządkowane bez reszty żywiołowi myśli. Często wynaturza to styl nawet wybitnych twórców, co obserwowałem w nieopanowanej przez pisarza erupcji publicystyki w beletrystycznej „Odwilży”. Trzeba było dużej miary aryzmu, aby nie doszło do tego w „Weselu”, choć i w nim mamy szczególną mutację stylu, odbiegającą od pewnego kanonu stylistycznego Dąbrowskiej. Ale polega ona na wyaskrawieniu pewnych cech nie będąc ich wynaturzeniem. Utwór to dalek: od doświadczenia. Każdy najdrobniejszy fakt staje się wcześniej czy później pozycją w bilansie. „Wesele” jest do tego stopnia nafaszerowane aktualnościami, że powiększa zapewne liczbę utworów, które, zrozumiane przez współczesnych, w przyszłości nie obejdą się bez „klucza”.

Dąbrowska zmierzyla się w „Weselu” z problematyką socjalistycznego przewrotu, uczyniła to po raz pierwszy w swojej twórczości. „Trzecia jesień” jest pod tym względem o wiele skromniejsza. Wiele ważnych spraw w literaturze występuje z opóźnieniem, ale prawdziwie wielcy twórcy nie mogą przeżyć obok nich obojętnie. Na tym polega ich wielkość. Dąbrowska uczyniła to w „Weselu” z całą siłą realizmu i z całym bagażem swej filozofii.

Pisarzka zapytana, czy brała rzeczywiste udział we współczesnym weselu, odpowiedziała na to pytanie w jakimś wywiadzie twierdząco. „Trochę zmieniłem, trochę dodałem” — rzekła Rachela przed snującym fite-rackie pomysły podczas bronowickiego „Wesela”. Naturalnie, i tutaj mamy do czynienia z wielką kondensacją — sztuka Dąbrowskiej polega na tym, że skomplikowane procesy widzi konkretnie w losach ludzkich, że trudne sprawy wkłada w usta nieuczone, bez nacągania, z zachowaniem wszystkich, bardzo licznych, odcieni charakterowych, z potoczystą naturalnością. Słowem, że z żywych ludzi nie czyni ani pionków, ani rezonerów.

Przed wszystkim odcytujemy z „Wesela” rozrachunek z przeszłości.

(Dokończenie na str. 7)





WANDA MELCER

# DWOJE PRZED SĄDEM

I  
Adam spłodził Seta, Set Enosa, Enos Kenana, Kenan zaś spłodził Mahaleela, który spłodził Jareda a ten znowu Henocha... Tak mówią najstarsze księgi świata. Ale coż przez ten czas robiły panie: Adamowa, Setowa, Enosowa, Mahaleelowa? O Adamowej wiemy coś niecoś, życiorys jej — jak powiada Herder — „dał pole do wysnucia wielu niezadowolających hipotez” — (zatapiam się teraz w Herderze, więc muszę go obśmędzić co do trafniejszych spostrzeżeń!) — ale inne? Po coż zresztą o nie pytać, od czasu, kiedy mężczyzna miał do przekazania stada, obok których gnał przed wiekami, żeby je oświcić — przestało się mówić o paniach.

Posunęliśmy się nieco naprzód od tego okresu. W rezultacie mamy do zanotowania: Adam rozszedł się z Adamową, Set z Setową, Enos porzucił Enosową, i tak w nieskończoność. Tyle tylko, że przed tym nie trzeba było ceregieli, a rozwody były jednostronne: wychodzić mogły tylko od męża. Tymczasem niedawno słyszeliśmy spor o alimenty, gdzie powyżającym był mężczyzna porzucony z dzieckiem i żądający od żony alimentów.

Czy możemy zadowolili się ujęciem Anatola France'a, który pisze w „Buncie aniołów”, że „nie znalezione jeszcze norm moralnych. by ująć sprawy pewnego wydziału. „...” Jeżeli ujmiemy w normy moralne i prawne sprawy pochłaniania, a więc jedzenia, również czysto fizjologiczne — nie ma powodu, żeby dla wydziału robić wyjątek. Póki sprawy produkcji i rozdziału pożywienia będą stały na jednym z pierwszych miejsc, pety i sprawy wydziału pewnych substancji — jakkolwiek zabawnie i z pozorów trafnie brzmiały paradoksy France'a — jako związane z produkcją nowych ludzi muszą być również ujęte w normy moralne i prawne. Za dużo rozwodów, za dużo lekkomyślnie zawieranych małżeństw, za dużo opuszczonych i źle wychowanych dzieci — oto diagnoza.

Wiadomo jednak, jak kończą się takie sprawy. Zapytywano pewnego chłopczyka, czemu płacze. Wśród szlochów wyznał, że złościła nauczycielka kazała mu powiedzieć a. „Cóż wielkiego, powiesz a i pójdziesz do domu” — rzekł przechochliwie. „Gdzież tam — odpowiedział chłopczyk, szlochając jeszcze mocniej! — Zaraz każę mi powiedzieć b, a potem cały alfabet”. Zdaże mi się, że ten żarcik jest autorstwa Diderota.

W tym właśnie rzecz. Bo jeżeli już uznaliśmy za słuszne powyższe — wbrew francowskiemu — twierdzenie, to musimy się zgodzić i na następne. Jeżeli już zgodziliśmy się, że stosunki płciowe między ludźmi podlegają kontroli społecznej, to z charakteru tej kontroli i z charakteru samego społeczeństwa wynika, że będą ulegały tym samym zaleceniom i zmianom, którym ulegał będzie społeczeństwo w trakcie swego rozwoju. Ale „si bis est idem, non est idem”. Tym samym — nie znaczy to tak i tym samym. Prawo nierównomiernego rozwoju, jako jedno z podstawowych praw formacji kapitalistycznej — i tu będzie mieć zastosowanie. Nie dziwny się więc, że w rosnącym i zmieniającym się społeczeństwie, przy głębokich zmianach ustrojowych, zapoczątkowanych po wojnie — nie w spoczynku i w dokonaniu, ale przeciwnie, w pełnym toku stawania się — i te sprawy muszą być czujnie, codziennie niemal kontrolowane, a skutki takich czy innych posunięć codziennie niemal omawiane i korygowane.

Jakież są główne elementy zmian, które przyspieszają bądź zastrzegają zmiany w obyczajach? Oprócz przyczynnych podstawowych: uspołecznienia środków produkcji, a co za tym idzie, radykalnych zmian w stanie posiadania, sposobie i obiekcie dziedziczenia itd. — istnieje mnóstwo pochodnych. Węprzede wszystkim wielkie zmiany polityczne, przesunięcie siatki granic, ogromne migracje ludności w związku z objęciem i osiedleniem ziem zachodnich, migracje ekonomiczne ze wsi do miast i osiedli fabrycznych w związku z nową, dogodniejszą geografią ekonomiczną, zatrudnienie pozadomowe kobiet, które omawiał już Engels, wreszcie skupianie się młodzieży w śródmiejskich beztradycyjnych i dla niej obcych, masowe wyjazdy dziewcząt na roboty polne, jak żniwa czy wykopki — że wymienię tylko najważniejsze. Jeżeli do tych faktycznych zmian obejmujących całe społeczeństwo, albo wielkie jego części w planie poziomym dodamy przekroje pionowe poprzez resztki istniejących klas, wierzenia religijne, mieszczańskie przesady, przesady i tradycje chłopeckie, przzwyczajenia i atawizmy — zrozumimy już bez trudu, jak skomplikowane stały się najrozsądniej dawniej zagadnienia, których prostota, dodajmy zaraz, nie była ich — nmanentną cechą, ale wynikiem pewnej stabilizacji elementów różnorodnych w swojej naturze, związanych ze stabilizacją ustroju i form społecznych danego okresu. Gdy uprzytomniwszy sobie to wszystko wejdziemy na salę sądową, gdzie trwa nieustający polonez par zwią-

zanych z sobą na krócej czy dłużej i teraz rozpaczywie ciągnących w różne strony, przekonamy się, ile elementów przyjdzie nam wyodrębnić i jak skomplikowanym przyczynom zawiązujemy obraz społeczny — jeżeli wolno użyć takiego określenia — który teraz mamy przed oczami.

Dzisiaj dwie sprawy jak z powieści. Bo pamiętacie przecież taką francuską powieść, która swojego czasu zrobiła wrażenie, a i teraz jeszcze ma niemało czytelników: „Les Thibault” Rogera Martina du Gard. I pamiętacie uroczą panią Fontanin, matkę Daniela, najniebezpieczniejszą małżonkę, do której mąż — Hieronim — ciągle wraca i ciągle od niej ucieka, a ona ciągle kocha i ciągle przebacza.

Próba pogodzenia nie dała rezultatu — i oto małżonkowie spotykają się ostatni raz przed sądem. Ostatni — o ile któraś ze stron nie zażąda rewizji procesu. Za stołem sędziowskim kobieta-sędzia i dwójka ławników.

Na scenę, przepraszam, na salę wchodzi inżynierstwo Z. Pani przystojna, starannie ubrana i uczesana, o nieco zmiętym spojrzeniu wypukłych, niebieskich oczu. Chciałam powiedzieć „przyjemna” zamiast przystojna, ale nie, właśnie, że nie przyjemna. Nerwy jej są naprężone do ostatnich granic, a czujny, ostry wyraz udreczenia i niepowinności nie schodzi z jej twarzy. Więc tu byłaby różnica z panią Fontanin, bo właśnie tamta jest czarująca. Ale może ta żywa jest lepiej obsadzona jako bohaterka literacka, i znowu mamy okazję zauważyć, iż rzeczywistość trafniej inscenizuje swoje dramaty i właściwiej rozdziela role. Więc nie dobra i pogodna, ale drażliwa i udreczona.

Za to inżynier — powiedzmy od razu — uroczy. Niemłodzi to ludzie, więc i on ma pięćdziesiątkę, jeśli nie wyższą. Dobrze ubrany bez arogancji, nie na nim nie ma nowego, a wszystko jak należy. Interesująca twarz typowego inteligenta. Rysy łagodne, spojrzenie wnikliwe i budzące zaufanie. Człowiek, który podnosi na ulicy przewracające się dziecko, a nieznajomego starszucha odstepuje w tramwaju siedzące miejsce. Znać ten typ, choć jest rzadki, więc na razie o nim do-  
syć.

Przewód zaczyna się od badania świadków. Więc najpierw inżynier R., najbliższy przyjaciel pana Z. Jak wynika z jego zeznań, postępowanie inżyniera Z. zgadza się całkowicie z zapowiedziami postaci. Uroczy w pożytku człowiek. Miły, cichy, łagodny, zawsze gotów do ustępstw. Gdzie spędza wieczory? Zawsze w domu, o ile nie ma jakiegoś specjalnego zajęcia. Czyta gazety, gra z panią w domino, wcześniej nie chodzi spać. Czy świadek dobrze ich zna? Ależ oczywiście, bywa u nich bardzo często, zdarza się, że zapraszają go na kolację i wtedy spędza z nimi cały wieczór. Adwokat inżyniera Z. triumfuje. Na wezwanie sędziego ruca parę pytań, żeby zresztą podkreślić cnoty swego klienta. Prosi mianowicie, żeby świadek specjalnie zwrócił uwagę na stosunek powoda do dziecka. Jak się odnosi do synka pani?

Jak się odnosi? Ależ jak najlepiej, to stosunek prawdziwie ojcowski. Rozmawia z nim godzinami, bawi się, chodzi na spacer, ba, odrabia z nim często lekcje. Zdarzało się, że świadek zjawiał się zniemacka wieczorem w tym domu, a pani sama zabawiła go przed kolacją, bo pan odrabiał z Jędrusem zadania arytmetyczne. Tak — podkreśla świadek — ich pożytku to prawdziwa idylla!

Świadek kłania się i wychodzi, rzuciwszy spojrzenie pełne męskiego zrozumienia na ławkę, gdzie siedzi sympatyczny domator o przyjemnej, inteligentnej głowie, a my zastanawiamy się trwożnie, że nie z tego wszystkiego nie rozumiemy. Jak to: miły, zgodny, domator, odrabia z miłym lekcje... gdzież tu konflikt? To chyba jakieś nieporozumienie?

Spoglądamy na panią Z. Siedzi przybita, z pochyloną głową, jakby każde zdanie było uderzeniem. Wchodzi następny świadek, młoda aktorka, niezbyt ładna i nie wygląda na aktorkę, może dlatego, że to po prostu nie bardzo cobra aktorka. Z jej zeznań zaczynamy się orientować: owszem, domator. Owszem, lubi grać w domino w długie zimowe wieczory. Owszem, odrabia z synkiem arytmetyczne zadania. Ale nie we własnym domu. Ale nie z żoną, ale nie z własnym synkiem. To jest ten drugi dom. Ta druga kobieta i tej drugiej kobiety dziecko.

Aktorka znała panią Z. Jeszcze jako pannę i była na jej ślubie. Rozeszli się w czasie okupacji po kilkunastu latach małżeństwa, bo on miał jakiś romans, ale zawsze do żony powracał. Pobrali się z wielkiej miłości. Czy sąd uwierzy, że kiedy szli razem na dancing, o chociaż sam nie bardzo lubił tańczyć, chodził z żoną nosząc dla niej zawsze w kieszeni parę nylonów. „Baw się, tańcz, moja malenka — tak mówić, proszę sady — i nie myśl o północznych, bo jakby ci oczko poleciało, to ja tu zawsze mam dla ciebie nową parę”. Teraz żyje z inną. Ta inna, to wdowa, której mąż

zginął w powstaniu. Została sama z dzieckiem, pracuje, żyją z sobą od sześciu lat. Chce widocznie ulegalizować nowy związek.

Teraz zjawia się przyjaciółka pani. Ślub nastąpił w roku 1926. Kiedy mąż ją opuścił w czasie okupacji — a wiadomo, jak wtedy było ciężko — dwa lata nie było go w domu. Żona nie wiedziała nawet, co się z nim stało, mógł zginąć w łapanie ulicznej, mógł zostać rozstrzelany czy zesłany do obozu. Po prostu wyszedł z domu i więcej nie wrócił. No, a potem, po tych dwóch latach? Ano cóż, zjawił się w mieszkaniu i błagał o przebaczenie, przysięgał, że to się nigdy więcej nie powtórzy, klękał, płakał. Przebaczyła mu i znowu żyli z sobą, jak para gołąbków. Niestety, w roku 1948 poznał panią K. i zaczęły się awantury. Kiedyś na przykład miał rozcięte wargi, a na pytanie co się stało odpowiedział ponuro, że żona rzuciła w niego lampą. Elektryczną, na długim sznurze, czy staroświecką naftową? Mniejsza o to, dość, że go pokiereszowała. A może go szpiegowała? Nie, to się nie zdarzało, choć warto by, bo wynosił rzeczy z domu i tracił pieniądze. Więcej się to nie pokazało, żeby go dwa lata nie było w domu, ale często zniknął na parę dni, znowu płakał, klękał, obiecywał poprawę — i znowu wszystko zaczynało się od początku.

Następny świadek, to starszy człowiek, z fachu „badylarz”, właściciel podmiejskich szklarni. Różni są ogrodnicy, ale od razu widać, że ten który przed nami stoi, ani stopniem wykształcenia ani ogólną wytwarską nie dorównuje inżynierowi, a własne jego słowa również rekomendują go z najgorszej strony. Wezwany widocznie przez adwokata pani Z. zeznaje o szczegółach znajomości z jej mężem. Zna go od lat piętnastu. To człowiek słaby, nie ma za grosz woli. Cóż, wybrał sobie młodą, nie w tym dziwnego. Ile razy ginał z domu na parę dni czy nawet tygodni? Ano, za pamięci świadka ze sześć razy. Zniknął na dłużej czy krócej, choć raz to nawet i rok go nie było. Potem okazywał skrucą a żona przebaczała. Powinien był kobietę cenić, przyszedł do mebli, do przyzwyczajonego towarzysztwa. Ale on woli dziewczętą, wódkę, hulanki.

Patrzę na twarz inżyniera Z. Na tym szlachetnym obliczu ze wzrokiem pochylonym ku ziemi nie małuje się nic, jakby to nie o nim była mowa. Nie patrzy na świadka, który mówi dalej:

— Widziałem go raz, proszę sądu, jak wychodził z lokalu i wsiadał do dorożki z taką kobietą, no, kobietą lekkich byczajów. Nie jeden raz zresztą tak robił.

— Która to mogła być godzina? — interesuje się sędzia.

— Chyba jedenasta wieczorem. — Niezbity późno. A skąd świadek wie, jaka to była kobieta? Może siostra, może kuzynka, którą z restauracji odwoził do domu?

— Nie, to była taka kobieta.

Zniecierpliwiony ławnik pyta: — Skądże świadek taki tego pewny? Na twarzy miała wypisane?

— Każdy doświadczony mężczyzna orientuje się w takich wypadkach — broni się rozpaczywie świadek, coraz bardziej przypierany do muru — a skąd ja to wiem? Bo ja byłem razem z nim w tej dorożce.

Pani Z. podnosi na chwilę swoje zimne, niebieskie oczy. Nie ma ani chwili wątpliwości, w jakim towarzystwie mąż spędzał noce. Świadek dodaje z pewnym zażenowaniem:

— On zawsze mówił, że kocha tylko żonę, ale co może poradzić, kiedy tak lubi kobiety. I mówił, że nie nadaje się do małżeństwa, tyle, że go zawsze ciągną. Bo pani K. koniecznie chce, żeby się z nią ożenił.

— Świadek jest wolny.

Teraz wchodzi bratowa. Na pytanie sądu, czy chce zeznawać jako krewna, mówi stanowczo:

— Owszem, chcę.

Rozwódka, widać taki zwyczaj w rodzinie. Szwagrostwo zna ze dwadzieścia lat. Było to dobre małżeństwo. Zawarta z wielkiej miłości. Pani Z. pomagała studentowi do ukończenia studiów, a potem się pobrała. Szwagier jest bardzo lekkomyślny, narażał zawsze rodzinę na wielkie straty materialne, stale naciągał ojca, wreszcie ojciec widział się zmuszony wypowiedzieć mu dom. Wyniósł się wtedy i nie miał za co kończyć studiów, ale zapoznał się ze swą późniejszą żoną, którą pokochał i która pomagała mu przez kilka lat. I byłoby to tak trwało, gdyby nie pani K. Bo pani K. jest urzędniczką, pracuje w biurze inżyniera Z. i chce koniecznie, żeby on to zatwierdził, choć on bardzo często mówił do brata: „możemy i zostać z Zosią, bo już mi wszystko jedno, ale coś, zmuszają mnie!” Dostał się widać w mocne ręce.

— Świadek jest wolny.

Sąd odkłada sprawę, nie stawia się bowiem paru świadków, między innymi najważniejszy może, sekretarka inżyniera, pani K.

I oto rozłożyliśmy ten zegareczek, poprawne, burżuazyjne, „przedwojenne” małżeństwo. Uroczy i zdolny młody człowiek robi sobie proceder ze swego niewątpliwego wdzięku. Podobna się kobietom, jak to miał rychło stwierdzić. Początkowo próbuje naciągać ojca, i do czasu mu się to udaje, ale w rodzinie widać nie wystarcza, trzeba solidniejszej podmurówki. Wyrzucony z domu szybko znajduje kobietę, która będzie go utrzymywać, ułatwiając skończenie studiów. Ale kobieta żąda małżeństwa. Człowiek, który — jak sam mówi — lubi zmiany i nie znosi życia rodzinnego, mógłby sobie zorganizować odpowiednią egzystencję, bo takie chęci to nie zbrodnia. Tylko że trzeba zwrócić uwagę, a dłużniczka nie żartuje. Zonę się więc i wynajęła jak umie. Nie wiem, jakie były możliwości finansowe pani Z., ale widać były nienajgorsze, bo małżeństwo trwa i niewierny mąż ciągle do żony wraca. Inne żądają przecież tego samego: wierności, przysięgi, wierności, wreszcie każda rzuci lampą i rozetnie war-

(Dokończenie na str. 4 i 5)

Kartki z dziennika

## Co boli..?

JERZY ANDRZEJEWSKI

Ze Stefanem W. i z paroma innymi towarzyszącymi cały dzień w Nowej Hucie. Dużo spotkań i rozmów, jeszcze więcej trudnych zagadnień oraz konkretnych, bynajmniej nie prostych spraw. Pożnym wieczorem, już w Krakowie, kiedy idąc Plantami ogarniętymi ciepłą jesienną nocą staraliśmy się uporządkować nasze wrażenia, Stefan W. począł w pewnym momencie opowiadać, jak chodząc latem tego roku po Tatrach cierpiął przez pierwszych parę dni na skutek niewygodnych tramppek. „Każydy, uważając, kamyczek, który dostawał się do środka — mówił Stefan — uwierał mnie, gniótł i piekł. Jakbym miał całe stopy oblepione gęstym żarem. Bardzo to było, wierzcie mi, przykre. Na szczęście, na trzeci dzień udało mi się wymienić trampki na nowe, i wyobraźcie sobie, że opuchnięte palce natychmiast swobodnie odetchnęły, i chociaż kamyczki też mi wpadały od czasu do czasu, wcale ich już nie odczuwałem tak dokuczliwie”.

Myślę, że Stefan W. utrafił w sedno ważnej sprawy. Trudności? Konieczność tych czy innych ograniczeń i wyrzeczeń? Konflikty, które nie zawsze się dają w porę przeciąć jednoznacznie: tak lub nie? Wątpliwości wderujące w człowieku jak ból po kościach? Omyłki, błędy i krzywdy? Losy ludzkie związane w twarde supły? Polska głupota, tępą upór, małostki pleniące się jak robactwo i groźne, jadujące nikczemności? Wróg? Ależ tak! To wszystko u nas jest. Wydaje mi się wszakże, że chyba nie w tym jedyna rzecz, że owe trudności, konflikty, omyłki, krzywdy i nikczemności wśród nas są. I także, kiedy się myśli o dzisiaj i jutrze, nie w tym pierwsza rzecz, którym to schorzeniom i w jakiej mierze można było na czas zapobiec. Natomiast w odniesieniu do rozlicznych bolączek i trudności naszego życia sprawą podstawowej doniosłości wydaje się właśnie to, o czym wspominał Stefan W. W trampkach przyciśniętych i niewygodnych nogi rzeczywiście szybko się stają obolałe i szczególnie uczulone na wszelkie z zewnątrz napastujące kamyczki. Natomiast te same kamyczki, które w okolicznościach niekorzystnych zadawały ból, przy praktycznie dopasowanym obuwiu wcale nie są tak bardzo groźne.

Nowa Huta jest w tej chwili rozległym, siedemdziesięciotysięcznym miastem. Kombinat przestał już być budową. Istnieje i pracuje. Rozmach, tempo budowy? Myślę, że przede wszystkim z uświadomienia sobie konkretnej sytuacji, czasu i miejsca, w jakich Nowa Huta powstawała, wynikała dla nas istotne racje słusznej dumy. Przed sześcioma laty procesje z chorągiewkami, z feretronami i z krzyżem wychodziły naprzeciw ludzi dokonujących na tych polach pierwszych pomiarów pod budowę. Zginął wówczas nienajeden z pierwszych budowniczych Huty. Nigdzie może w naszym kraju z siłą tak dramatyczną jak tu, na tej podkrakowskiej ziemi, nie starło się nowe ze starym.

Akurat w drodze powrotnej z Krakowa natrafiłem w świeżo wy-

danych „Dzielaach” Tuwima na następującą strofę z roku 50 tego:

My — ze wszystkimi naszymi błędami,  
Tu z jakimś winą, a owdzie i z grzechem,  
My, twarzą, szorstcy, nieprzejędani,  
Z zacisniętymi kamiennymi pięściami —  
Ach, mimo wszystko, jesteśmy —

usmiechem,  
Ziemii majowej szczęśliwym odochem,  
Słońcem młodzieńczym na świeżej —

polanie,  
Switem, pachnącym igliwem leśnym,  
Ust niecierpliwych słodkim pośpiechem —

Problemy Nowej Huty? Nie wydaje mi się, aby były one inne niż w całej Polsce.

Chuliganstwo w Nowej Hucie? Oczywiście istnieje, jednak w rozmiarach nie większych niż w całej Polsce. Prostytucja? Także. Pię się w Nowej Hucie? Owszem, pić się, i to wiele. Jak wszędzie. Nuda i nieumiejętność dostrzeżenia osobistych perspektyw życiowych gnębią znaczną część młodzieży? Tak, dotkliwie. Ludzie w Nowej Hucie są otwercy, spokojni, śmiało i szczerze mówiący o różnych bolączkach i wątpliwościach? Nie, robią wrażenie zadrażnionych, zdenerwowanych, w wielu wypadkach zniechęconych i nieufnych, brak tu klimatu sprzyjającego otwartym dyskusjom i szczerej krytyce. Na skutek niedostatecznego informowania ludzi przez miejscowe komitety partyjne, dyrekcję i radę zakładową oraz niedostatecznego wyjaśniania wielu spraw drażliwych — szerzą się fałszywe podejrzenia i domysły, plotki już nasze, nie wrogie. Lecz, czy tak się dzieje tylko w Nowej Hucie?

Wszystkie moje osobiste doświadczenia potwierdzają mnie coraz mocniej w przekonaniu, że Polacy posiadają szczególnie mocne i zdrowe poczucie sprawiedliwości. Są — powiedziałbym — moralniejsi od własnych czynów. Chcą wiedzieć i rozumieć, chcą znać prawdę, odczuwają potrzebę samodzielnego myślenia i wartościowania. Nie trudności ich paraliżują, ani zio przygnębia, lecz uporczywie lakiernictwo przeciwności i ukrywanie zła poraża ich umysły i wysusza serca. Wstydlive skrywane niesprawiedliwości, fałsze, zakłamania, odgórne komenderowanie, stepianie i głuszenie publicznej opinii, zastraszanie i dławienie społecznej demokracji tylko po cynikach spływają jak nieczystości po brudzie. W ludziach z gruntu uczciwych i moralnych zawsze żłobią gorzkie rysy. Nie, to nie „kamyczki” dokuczają ludziom najprzykrej, lecz niedobra, człowiekowi nieprzychylna atmosfera. Problemy moralne postawione przez III Plenum wciąż jeszcze nie docierają do świadomości wielu ludzi.

W naszym narodzie spoczywają ogromne bogactwa ofiarności, poświęcenia i ideaowości. Kto jednak rzetelnie spojrzy krajowi w twarz — ten nie może nie dojrzeć, że owe bezcenne bogactwa nie tylko nie są dostatecznie wykorzystywane, lecz częstokroć gupio, beznamiętnie marnotrawione; że zniechęcenie, lęk, gorycz, bierność i nieufność panoszą się właśnie tam, gdzie w warunkach zdrowej społecznie moralności człowiek rzeczywiście był roś i chciał dać ze siebie stokroć więcej niż daje obecnie. I to boli najwięcej.

Jerzy Andrzejewski

JERZY MILLER

## NASZ DZIEŃ POWSZEDNI

Mirosławie

Budzi mnie co dzień krzątania rzeźbiarki młodej — dziwożony. Oby łaskawą była gлина dla tej, co wstaje z jaskółkami, jeszcze nim słońce za oknami przez gąszcz przebieje się zielony.

Gdyby życzenie to „mindowe” mogło się spełniać, jużbyś była równą co najmniej Meunier'owi, a jesteś tylko sobą, Miła.

„Miła” dla rymu napisałem. Serdecznie gniewa mnie to słówko wytarte i spospoliciate, jak gdyby było dwugroszówka.

Nagminnie modne u poetów, co słowiczeniem się parają, autorów wierszy i sonetów na temat: — słowik śpiewa w maju...

ANNA ŚWIRSZCZYŃSKA

## KOCHANKOWIE

Oto spoczywają w uścisku czystym, ramionami związani, ukryci w sobie wzajemnie schronieni w siebie przed nocą, co groźna stoi za ciemnym oknem, a wiatr w nie stuką zimowy. I w słodkiej ciemności myśli, co roztopiają się w przednie, wraz z śmiercią trwogą półjawną wzruszone napływa marzenie:

by śmierć, co kiedyś nadejdzie, tak ich zastała. By umierając czuli wzajem na szyi ciepło swych ramion. By razem poszli w najrozsza grozę, jaka ludzi czeka. O tym czepczą — szczęśliwi pół, pół smutni. I zasypiają jakby marli.



# Tragikomedia czy pamflet?

Stanisław Wyspiański: *Wesele* — dramat w trzech aktach. Reżyseria: Maryna Broniewska, Jan Swiderski. Scenografia: Andrzej Proszko. Muzyka: Andrzej Markowski. Współpraca literacka: Konstanty Puzyna. Premiera w Teatrze Domu Wojska Polskiego w Pałacu Kultury i Nauki im. J. Stalina w Warszawie.

Po wielu latach — znowu „Wesele” na scenie. Nareszcie konfrontacja wielu artykułów i dyskusji z tym co bezlitosnie ukazuje teatr. Nareszcie potwierdzenie lub zaprzeczenie tego o czym mówili poeci i historycy literatury, krytycy i inscenizatorzy.

Tak już jest, że próba sceny jest proą jedynie realną dla utworu dramatycznego. Rozmaite karkołomne tezy literackie nie wytrzymują tego trudnego egzaminu. Słusznie mówił kiedyś Mieczysław Jastrun, że można w pracy naukowej wysunąć tezę, iż Wysocki jest bonaterem „Dz. dów”. Lecz jakże pokazać to na scenie?

Zadanie mistrzów spekulacji intelektualnej i owych „konceptjonistów” było w ciągu ostatnich lat tym łatwiejsze, że nikt w tym czasie „Wesela” na scenie nie mógł zobaczyć. Tym ciekawsza stała się dla wszystkich inscenizacja w Teatrze Domu Wojska Polskiego w Pałacu Kultury i Nauki.

Jeszcze zanim „Wesele” ukazało się na scenie, dochodziły nas odgłosy licznych dyskusji, jakie się toczyły nad koncepcją inscenizacyjną sztuki w teatrze i w środowisku literackim. Ze to będzie „Wesele” nowatorskie, zupełnie inne niż wszystkie dotychczasowe jego przedstawienia. Kierownik literacki Teatru Domu Wojska Polskiego Konstanty Puzyna ogłosił w „Przeglądzie Kult. i Nauki” artykuł pt. „Zagadnienia *Wesela*” przedrukowany później w programie. Probując wyjaśnić istotny sens „Wesela” i odpowiedzieć na wszystkie wątpliwości i dyskusje jego dotychczasowych interpretatorów, Puzyna pisze: „Zapomniać... że jest to pamflet polityczny”. I dalej: „Pamflet polityczny rozwiązywać zatem się zdaje podstawowe kłopoty, w jakich pływały się bezradnie wszystkie komentarze „Wesela”. Pływały się dlatego, że krytycy — z najrozmaitszych przyczyn, od artystowskich i brązowniczych, do ściśle politycznych — na ten pamflet sturali się zamknąć oczy. Oczywiście całkiem nie udawało się go przemilczeć. Sprowadzano go zatem do krytyki niedojrzałości ludu i „nercji inteligencji, starając się usilnie zwrócić uwagę widza na wszelkie inne sprawy. Pamflet tymczasem jest o wiele głębszy i o wiele bardziej zasadniczy niż owa sugerowana „krytyka” (koniec cytatu). Aby uniknąć wszelkich wątpliwości i zupełnie jasno sprecyzować swoje stanowisko, pisze Puzyna: „Każdy rozsądny czytelnik, nie uświadczony miłem przyzna, że „Wesele” jest utworem zrozumiałym i dającym się wytłumaczyć bez szczególnego wysiłku”.

A więc sprawa jasna. Puzyna ustępuje udowodnić, że „Wesele” to konsekwentny i jednolity pamflet polityczny, wyszydzający świat, w którym Wyspiański żył, utwór, który nieuprzedzonemu i rozsądnemu czytelnikowi nie nastręcza żadnych trudności interpretacyjnych i daje się zupełnie jasno i niedwuznacznie wytłumaczyć.

Teza ta wydała mi się wątpliwa i naciągana. Kiedy przeczytałem raz jeszcze „Wesele”, nie mogłem zgodzić się z Puzyną, że jest to pamflet polityczny i nic więcej. Pomyślałem, iż fałszywe rozumienie może słowo „pamflet”. Zająrałem więc do słownika wyrazów obcych. Oto co tam znalazłem: „pamflet... utwór... ośmieszający w ostrej, demaskującej formie jakąś osobistość lub przejaw życia społecznego, albo politycznego”. Definicja jest precyzyjna, ale w takim razie trudno będzie udowodnić Puzynie, że „Wesele” jest tylko utworem demaskującym świat, w którym Wyspiański żył. Może jednak chodzi tylko o spór terminologiczny? Kiedy się wgłębiłem w tekst artykułu Puzyny, okazało się jednak, że konsekwentnie reprezentuje on stanowisko zgodne z definicją słownika. Oto co pisze: „Akt drugi („Wesele”) to akt ponurej euforii, pojedynczo wiozących się osób, pijackich monologizujących rozpamiętywań”. Idąc bardzo daleko w swej konsekwentnej ale trudnej do udowodnienia koncepcji, uważa nawet Puzyna, że „zreżnne persyfluje tu Wyspiański autentyczne przepowiednie romantyczne, przypisywane Wernyhory...” A więc nawet ta postać uważana powszechnie za tubę pozytywnego programu, jaki pragnął Wyspiański głosić w „Weselu”, jest — zdaniem Puzyny — wysmiana, a jej szumne i huczne deklaracje i wezwania są świadomym persyflażem. Puzyna przypisuje parodystyczny charakter postaci Rycerza, a o słynnych słowach Szeli „rece myć, gębę myć, suknie prać, nie będzie znać” pisze, że jest to tylko szyderstwo — szyderstwo z chłopów bratających się z panami.

Jedyną istotną funkcję dramatyczną zjaw widzi więc Puzyna w demaskowaniu, kompromitowaniu postaci „Wesela” zaczerpniętych przez Wyspiańskiego z rzeczywistości świata.

Lecz czyżtem ekwilibrystyki myślowej wydaje się być twierdzenie, iż świadomie i celowo na podstawie konsekwentnego zamysłu

autora „dialog *Wesela*”, który w towarzyskich rozmowach aż skrzy się dowiecipem i precyzją sformułowań, właśnie u postaci wizyjnych wpada szczególnie silnie w grzmącą i splątana gadaninę. Trzeba zupełnie nie zdawać sobie chyba sprawy z intencji Wyspiańskiego, by pisać: „Czyżby Wyspiański, tak wyrafinowanie rozwijający elementy budowy „Wesela”, tak misternie je wiążący, tak konsekwentnie prowadzący każdy wątek, nastrój, myśl, tak świadomy swojej roboty w tym dramacie, nie dostrzegł raptem pustki myślowej i łatwin obrazowania, jakie grożą tekstowi Rycerza czy Wernyhory? Można tu snuć wielorakie przypuszczenia (tu nawet Puzyna czuje, że trochę przesolił); czemuż nie zastanowić się zatem, czy nie mamy tu do czynienia po prostu z z a m i a r e m pisarza?” A więc to wszystko co realistyczne i tak bliskie nam w „Weselu”, wynikało z równie konsekwentnego zamierzenia Wyspiańskiego, jak to co metnackie i metafizyczne. Po prostu to drugie było świadomym szyderstwem i wysmiewaniem napuszonego młodopolskiego stylu przez parodiowanie go. Sprawa jasna i ostatecznie rozstrzygnięta. Niestety tylko na papierze, i tylko przez Konstantego Puzynę. Zagadnienie „Wesela” jest bowiem znacznie bardziej skomplikowane zarówno w dziedzinie analizy literackiej, jak i praktyki teatralnej.

W swej pracy pt. „Legenda i prawda *Wesela*” pisał Kazimierz Wyka: „*Wesele*” rozkłada się na dwa odmienne w swoich założeniach oraz wydzwieku ideologicznym wątki wydarzeń scenicznych. Pierwszy z nich jest realistyczno-komediowy... Drugi jest wizyjno-dramatyczny”. Aczkolwiek można dziś w niejednym polemizować z pracą Wyki i nie godzić się z niektórymi jej bardzo spornymi tezami, trudno odmówić słuszności tezie, iż „*Wesele* jest dramatem dwuskrydłowym i nie wolno kłaść nacisku na jedno z tych skrzydeł jako rzekomo ważniejsze”. Słusznie pisze Wyka, że „nawet przy nacisku położonym na wątek rzeczywisty, z którego całość dzieła zaczerpnęła soki, „*Wesele*” pozostaje utworem dwiśmym”. Zgadnam się również z Wyką, że sens „*Wesela*” jest satyryczno-tragiczny.

Koncepcja Puzyny jest reakcją na metafizyczne próby interpretacji „Wesela”. Jakże sprawdza się ona w przedstawieniu? Jakże wygląda ta efektowna konstrukcja literacka



Fot. E. Hartwig

dła do wody. Aktorzy robili co mogli, aby udowodnić, że i ta część sztuki Wyspiańskiego jest pamfletem politycznym. Cóż robić, kiedy tekst nie chciał się poddać Puzynie! Aktorzy — powtarzam — robili co mogli. Ale kiedy postępowali wbrew Wyspiańskiemu — rezultaty musiały być opłakane. Akt drugi był więc nudny, ciągnął się bez końca i nie był w nim ani poezji ani sensu. Byli na sali tacy, którzy odpowiedzialność za to chcieli przerzucić na Wyspiańskiego. — Bo to takie — mówili — że nikt

znacznie dalej, gdyż w wielu wypadkach zmienili się założenia poszczególnych postaci i ról. Aktorzy są zawsze najbardziej wrażliwi na działanie tekstu, który interpretują. Prawdopodobnie, kiedy się przekonali, że koncepcja Puzyny nie da się zrealizować, i wybijali sobie na niej co wieczór zęby — postanowili zawrzeć Wyspiańskiemu A jak traktował Wyspiański tak zwane „osoby dramatu”?

Jak już nawet z samej nazwy wynika, widział w nich postacie najbardziej serio. Jeśli wyszydzal Pana Młodego, Gospodarza, Poetę, Czepca czy Kliminę, Radczynię, Zydą, Księdza czy nawet, częściowo Rachel — to w stosunku do „osób dramatu” był piekielnie poważny. Przecież w tym akcie toczy się zasadnicza dyskusja ideologiczna, i jeśli poglądy Wyspiańskiego nie pokrywały się z wszystkimi kwestiami wygłaszanymi przez bohaterów drugiego aktu, to jednak o n i wszyscy mówią na serio. Jeśli więc akt pierwszy i trzeci mają wiele cech komedii i pamfletu politycznego (choć akt trzeci nie jest pozbawiony elementów tragedii) — to drugi akt „Wesela” jest wielką tragedią narodową. Stańczyk, Hetman i Szela, Zawisza i Wernyhora — to postacie tragiczne, i choć Wyspiański nie zawsze wyzył się w ich ukazywaniu metafizycznego metnactwa, to jednak w zasadzie składają się one na wielki dramat polityczny. Z kogoś sztydzi Wyspiański? Czy ze Stańczyka wysmiewającego poglądy konserwy krakowskiej? Czy z Szeli, który jest w ujęciu Wyspiańskiego groźny, choć poctopiony? Czy może z Zawiszy Czarnego, który nawołuje do czynu, tak gorąco zalecanego narodowi w „Weselu” przez Wyspiańskiego? Można nie zgadzać się z poglądami głoszonymi przez „osoby dramatu”, ale nie można twierdzić, że Wyspiański świadomie je wyszydza. Potępia on hetmana Braniczkiego, ale czyni to jak najbardziej serio, w dramatycznej formie.

Dlatego też przedstawienie „Wesela” nabiera rumieńców i pełnych walorów dopiero wtedy, kiedy prawa sceny zmusiły aktorów do rewizji wymyślonej za biurkiem koncepcji Puzyny.

Powstał teraz inne pytanie: jeśli „Wesele” jest tragikomedią o skomplikowanej zawartości ideowej, jak grać drugi akt, który wywołuje najwięcej wątpliwości? Musimy się przeciwie liczyć również z mistycznymi elementami, które tkwią w tym akcie. Puzyna chciał się ich pozbyć włączając wszystkie postacie w ramki pamfletu. To się nie udało. Ale czy dlatego mamy się zachłystywać metafizycznymi oparami, jakie tu i ówdzie unoszą się ze sceny, jeżeli potraktujemy cały tekst a la lettre.

Jest wulgarnym socjologizmem nagananie dzieł klasyków do naszych współczesnych koncepcji. Nie można wtłoczyć w żaden utwór tego czego autor nie napisał i nie chciał napisać, gdyż powstają wtedy dziwne sprzeczności z ideową i artystyczną logiką utworu. Jest jednak dobrym prawem inscenizatora dokonać takich skrótów i skreśleń, przy których jasno dojdzie do widzów mśl autora oczyszczona z naleciałości specejących ją i zniekształcających. Myślę na przykład, że zupełnie zbędna jest w drugim akcie „Wesela” scena z Widmem. Tak-

że skróty dokonane przez reżyserów w tekście Wernyhory wydają się uzasadnione i celowe. Sądzę jednak, że można pójść w koncepcji inscenizacyjnej drugiego aktu „Wesela” jeszcze dalej. Wydaje się, że interesujące byłoby tu zastosowanie osiągnięć i doświadczeń epickiego teatru Brechta. Efekt „wyobcowania” (Entfremdungseffekt) pozwoliłby widzom potraktować tę część sztuki jako opowieść o sprawach, które zaprzatają umysł autora. Ta wielka dyskusja polityczna, rozłożona na głosy, nie powinna mieć takiego samego kształtu scenicznego jak akcja pierwszego czy trzeciego aktu. Trzeba znaleźć inną konwencję sceniczną, która by podkreślała specyficzny charakter tej części utworu. Być może, iż dawna koncepcja inscenizacji „Wesela” w formie szopki da się zastosować tylko do drugiego aktu, kiedy na scenie zjawiają się „osoby dramatu”. Może znajdzie się inna koncepcja inscenizacyjno-scenograficzna (np. maski). Może wystarczy tylko zmieścić w tym akcie sposób gry aktorów, którzy nie będą się identyfikowali z postaciami interpretowanymi, lecz, jak radzi Brecht, stawać będą „obok nich”. W rezultacie otrzymamy zabezpieczenie przed metafizycznym dreszczykiem z duchami i realizację intencji Wyspiańskiego, który sprowadzał na scenę duchy nie po to, aby straszyc widzów, lecz po to, aby przeprowadzić dyskusję polityczną z pozostałymi postaciami sztuki.

Był czas, kiedy wielu z nas uważało, że „Wesele” jest utworem tak nasyconym mistyką, iż nie nadaje się on do realizacji na scenach Polskiego Ludowej. Dziś odzywają się znów głosy, że nie ma w tej sztuce żadnych spraw skomplikowanych i trudnych do rozwiązania. Tak jak przedtem wszystko było niedobre, tak teraz dla niektórych wszystko jest jasne i postępowe. Sądzę, że warszawskie przedstawienie „Wesela” zaprzeczyło obydwu tezom. Nie mają na pewno racji ci, którzy uważali, że nie ma dla „Wesela” miejsca w repertuarze teatrów Polskiego Ludowej. Ten piękny utwór Wyspiańskiego rozpoczął dzięki przedstawieniu Teatru Domu Wojska Polskiego nowe życie na naszych scenach i jest w tym duża zasługa kierownictwa teatru i inscenizatorów spektaklu. Z drugiej strony — to przedstawienie nie dało jeszcze odpowiedzi na wiele zagadnień spornych. Najlepszą formą dyskusji nad tymi problemami będą następne inscenizacje „Wesela”. Niechaj ich autorzy spróbują odpowiedzieć na wielki problem drugiego aktu. I niech pamiętają o tym, aby nie tylko nie popełnić „konceptyjnego” błędu Puzyny i warszawskiej inscenizacji, lecz również z większą troską i dbałością obsadzić tak trudne i ważne role „osób dramatu”. Niewątpliwie bowiem ani Józef Kondrat w roli Stańczyka, ani Witold Skaruch jako Widmo, ani Przemysław Zieliński (Diennikarz) nie podolali trudnym zadaniem, jakie postawił im Wyspiański. I choć Diennikarz nie zalicza się do „osób dramatu”, odgrywa jednak ogromnie ważną rolę w drugim akcie „Wesela”, i fakt, że jego rozmowa ze Stańczykiem wypada tak błado i nieprzekonywająco, zaciążył również poważnie na niepowodzeniu tej części przedstawienia. Jedynie Saturnin Butkiewicz (Hetman) i Leo-

pold Szmaus (Szela) potraktowali swoje role poważnie, nie próbowali dodawać do nich satyrycznego komentarza i zagrali je zarówno na premierze jak później dobrze i przekonująco.

Zasługą Teatru Domu Wojska Polskiego i Konstantego Puzyny jako autora koncepcji literackiej przedstawienia „Wesela” jest nie tylko wprowadzenie tej dawno nie granej sztuki na nasze sceny i przypomnienie jej wielkich walorów ideowych i artystycznych, lecz również słusne odczytanie tej części utworu, której kwintesencją są słowa Gospodarza:

„a ot co z nas pozostało:  
balki, szopka, podłe maski,  
farbowany fałsz, obrazki;  
niegdys, gdzieś tam, tegie pyski  
i do szabli i do miski;  
kiedys, gdzieś tam, tegie dusze,  
półwariackie animusz;  
kogos zbawiać, kogos ślekać;  
dzisiaj nie ma na co czekać”.

W słowach tych zawarta jest ostra, pamfletowa intencja Wyspiańskiego, która niewątpliwie stanowi istotną część „Wesela”. Lecz warto przypomnieć i inne słowa, które również reprezentują jakiś nurt utworu, i to wcale nie pamfletowy. Mówi Czepiec:

Panowie, jakżeście som,  
jeżli nie pójdziecie z nami,  
to my na was — i z kosami!”

To ostrzeżenie, potraktowane przez Wyspiańskiego jak najbardziej serio, stanowi kwintesencję drugiego nurtu „Wesela” — dramatycznego, tragicznego. Z tego nurtu pochodzi zarówno Szela, jak słowa „chłop potęga jest i basta”.

Mówi wreszcie w „Weselu” Wernyhora:

„Lec kto pierwszy do Warszawy  
z chorągwią i huftem sprawy,  
z ryngarlem Bogarodziecy;  
kto zwola sejmowe stany,  
kto na sejmie się pojawi  
Sam w stołicy — ten nas zbawi!”

Można nie zgadzać się z tą idealistyczno-narodową i solidarystyczną koncepcją Wyspiańskiego. Trudno jednak nie rozumieć jego jasnych i wyraźnych intencji wypowiedzianych w tym fragmencie ustami Wernyhory.

Dobrze jest, gdy przywracamy „Weselu” jego pozytywny, satyryczny, demaskatorski sens tam gdzie on naprawdę w tym utworze tkwi. Przesada jest, gdy usiłujemy udowodnić to czego w „Weselu” nie ma, wbrew intencjom Wyspiańskiego i wbrew tekstowi. Tę słabość odczuwa nawet Puzyna, kiedy w innym miejscu swego artykułu pisze o wstrząsającym tragizmie „Wesela”. A więc zgódźmy się: nie pamflet, lecz tragikomedja.

Dyskusja nad „Weselem” trwa. Świadczy ona o tym, że głos teatru ma ogromne znaczenie dla ustalania prawd głoszonych w historii literatury i w krytyce. Cieszymy się więc bardzo, że również problem „Dziadów” przechodzi już ze szpał czasopism i stronice książek na deski Teatru Polskiego. „Dziady”, „Kordian”, „Nieboska Komedia”, „Wesele” w jednym roku na scenach teatrów polskich — to ogromny krok naprzód w naszej dyskusji o literaturze polskiej. Krok, który nie tylko zapowiada bardzo interesujący i bogaty sezon teatralny, lecz posunie znacznie naprzód i pogłębi naszą wiedzę o dramaturgii ojczystej.

Roman Szydlowski

## WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

### PRZYCHYLNOŚĆ LUDZKA

Uciekinier wojenny, ludzką przychylność poznałem:

W chacie ukraińskiej dostałem dzbanuszek mleka i chleb.

Nawet noclegu nie odmówili mi gospodarze.

Spałem, a za oknami z nocą ścigał się step.

Przez sen słyszałem jak woły żują siano w oborze,

Jak sennie skrzypią jablonie i szczeka pies na dworze,

Spałem, a sny moje miały przyjaciół zabitych twarze,

Pyski końskie i sprzchy wozów uciekinierskich,

Gdy się zbudziłem, słońceznik zająrał w okienko,

A z portretu na ścianie spojrał wąsaty Szewczenko,

Jak gdyby mówiąc oczami: „Wolność stepową dajcie.

Gdy umrę, na Ukrainie milej mnie pochowajcie...”

Gospodyni podała ołajdc, gospodarz rzekł dobre słowo,

Potem poszedłem dalej drogą, drogą stepową,

Która biegła przede mną gorzka i uciekinierska,

A pamięć o przychylności ludzkiej skracala drogę

I step surowy zmniejszała do rózmiarów ludzkiego serca,

Do rózmiarów chaty bielonej, dzbanuszka z mlekiem i chleba.

w konfrontacji z jej realizacją w tym teatrze, który miał dać spektakl oparty o założenia interpretacyjne tego krytyka?

Było z tym bardzo zabawnie. Oglądałem przedstawienie dwukrotnie. Po raz pierwszy na premierze prasowej prezentowało się ono nie-dobrze. Akt pierwszy i trzeci wyglądały okazale. Ironia Wyspiańskiego dochodziła doskonale do widzów, a poezja królowała niezaprzecalnie na sali. Tadeusz Białoszczyński (Gospodarz), Kazimierz Opaliński (Zyd), Halina Mikołajska (Rachel), Andrzej Bogucki (Pan Młody), Jan Swiderski (Poeta), Tadeusz Chmielewski (Ksiądz), Wanda Łuczycza (Gospodyni), Aleksander Dzwonkowski (Nos), Helena Buczyńska (Klimina), Janusz Paluszkie-wicz (Czepiec) — to aktorzy tak inteligentni, utalentowani i realistyczni, że wydobycie satyrycznego ostrza zawartego w tej warstwie utworu jak również przekazanie piękna poezji Wyspiańskiego nie sprawiало im większych trudności. Wydawało się, że koncepcja Puzyny zwycięża.

Zupełnie inaczej było jednak w akcie drugim. Kiedy się zaczęły sceny z duchami, cała koncepcja wpa-

tego dziś nie zagra ani nie zrozumie. Metnackie bzdury, metafizyka i tyle. Co złośliwi dodawali, że największym sukcesem warszawskiego przedstawienia jest ostateczne skompromitowanie tej części „Wesela”, co jakoby miało być szatańskim zamiarem ministra Sokorskiego. Należałem do przeciwników tej bądź co bądź oryginalnej i śmiałej tezy. Nie posadzałem tow. Sokorskiego o taki machiawelizm. Wybrałem się więc na przedstawienie „Wesela” po raz drugi po kilku tygodniach. I co się okazało?

Przedstawienie zmieniło się bardzo na korzyść. Nie tylko dlatego, że tempo jest teraz lepsze, sytuacje sceniczne rozwijają się swobodniej i płynniej, aktorzy czują się lepiej i pewniej w swoich rolach. Gdyby zjawisko ograniczało się do tego, sprawa byłaby dość zrozumiała i oczywista. „Wesele” przygotowywano pośpiesznie, termin premiery był z góry ustalony, i dlatego prawdopodobnie spektakl nie został pokazany publiczności w stanie zupełnie dojrzałym. Lecz tym razem zmiany dotyczyły nie tyle i nie tylko udoskonalenia poprzednio zarysowanych koncepcji interpretacyjnych. Tym razem zmiany te posły-



gę, a on nie lubi awantur. To dobry człowiek: podniesie przewracając się dziecko, będzie z chłopcem odrabiał lekcje, nosi za żoną półczochy na dancng. Stać go na mnóstwo czarujących pomysłów, które ułatwiają życie. Jak mówi przysłowie: „muchy nie skrzywdzi, na słonia się nie porywa”. Jego wdzięk, jego delikatność otwiera mu wszystkie serca. Jeździł od czasu do czasu robi „odskoki”, to wróci. Otworzył zresztą biuro, zarabia, ma za co się bawić. I wtedy widzimy, jak ten nowocześnie „dr. Jekyll i mr. Hyde” spędza noc w towarzystwie prostytutek i rozpiętych hula-ków. Wtedy spotyka panią K., widuje ją co dzień, a ona orientując się w jego charakterze postanawia poprowadzić go... no, najprawdopodobniej do ołtarza, bo tego rodzaju typy, jak ci dwoje, na pewno — wedle wypowiedzi innego z rozwodników — „nie uważają Urzędu Stanu Cywilnego”. On wprawdzie wołałby się nie rozwodzić, bo każda żona, to niewola — ale najprawdopodobniej znów ulegnie. Ten dobry człowiek nie lubi nikomu robić przykrości.

Pobrali się w czasach, gdy danie młodzieńcowi zawodu w zamian za małżeństwo stało na porządku dziennym. Po prostu lokata kapitału na dożywocie. Przypomnijmy sobie ogłoszenia w przedwojennych, poznańskich pismach! Kontrahent wypłacał się, tym bardziej że z tego samego źródła płynęły dalej różne oberhapki. Ale ta druga? Pracuje, jest urzędniczką, miała męża, ma dziecko. Na pewno zdaje sobie sprawę, jakiego człowieka kupuje, bo przecież i od niej wielokrotnie uciekał. Ale ona wie czego chce. Zafascynowana słowem „mąż” wyobraża sobie, że słowa tego w magiczny sposób wystarczy, żeby na nim zbudować życie. Może zresztą i nie myli się znów tak bardzo, bo w społeczeństwie, gdzie wiele osób myśli jeszcze tymi samymi kategoriami, magia działa. Poza tym jest zgubiona w lesie nowego życia i nowych zagadnień, nie rozumie ich, trzyma się utartej drogi, bojąc się wychylić nosa spoza oszańcowania burżuazyjnych przesądów, choć spod całej tej małżeńskiej naddbudowy dawno już wyszłyżnęła się baza. Współczucie? Dla kogo? Nikt tu nie jest oszukiwany i — co ważniejsze — nikt tu nie był. Cała egzystencja stadia D. była tylko parawanem rozpiętym przed pustką określonego ustroju i trwa jeszcze — choćby się zmieniły osoby — siłą przyzwyczajenia.

Ale to na co patrzyliśmy teraz, było jeszcze zwoalowane, zakryte pewną ogładą towarzyską, pewnymi szczytkami form, które czyniły wszystko mniej brutalnym, i gdyby się nie zjawił towarzysz zabaw, gdyby nie brutalne i prostackie wnioski, jakie byliśmy zmuszeni wysnuć — można by myśleć pobłażliwie, jak świadkowie: idylla.

Bo oto wchodzi druga para, i tu już wszystko powiedziane jest bez obłonek. Ona bezczelna i pewna siebie, przypomina mi pewną właścicielkę sklepu spożywczego sprzed wojny. Chciwość, pożałliwość, wszystko to wybija się na jej dumnej twarzy o poprawnych rysach pod ondulowaną fryzurą. Ubrana w nienaganną kostium. Ręce maniakurowane. Stopy też. Mąż dobrze zbudowany, rudawy, o niewyraźnej fizjonomii, trzyma się prawej ławki.

I znów zaczyna się od nieznaczących szczegółów, żeby powoli dochodzić do sedna.

Najpierw zeznaje jego siostra po zwykłym upewnieniu, że sobie tego życzy i złożeniu „oświadczenia w miejsce przysięgi”. Pożycie małżonków w jej relacji od początku było złe, już z podróży poślubnej wrócili pogniewani. Bo ona jest, proszę sądu, egoistka, zimna, despotyczna, dość powiedzieć, że matka musiała mu zawsze przygotowywać koszulę i skarpetki do wyjścia, bo jej nie chciało się o tym myśleć. Kiedy w 1952 roku miał wypadek na ulicy i leżał w szpitalu, nie przyszła go odwiedzić, powiedziała, że go nie kocha i w niczym mu nie pomoże. Ostatnio sypiali oddzielnie i nie rozmawiali z sobą, a dziecko jest u jej matki w Podkowie Leśnej. Była sprawa o alimenty. Ile on płaci? Daje na dziecko 150 złotych miesięcznie. Ale cóż to za matka, która nie opiekuje się własnym dzieckiem.

Koleżanka z pracy, świadek C., powtarza mniej więcej to samo: chodził głodny spać, bo nigdy nie przygotowała mu herbaty, jak wracał do domu. Teściowa też źle wpływała na małżeństwo, nie pozwalała ojcu widywać syna, który mieszka u niej na wsi. A ona sama też jąka: uderzyła świadka parasolką i nawymyślała od żydowskich klemp. \*) a o mężu powiedziała, że oszust i łobuz, a dlaczego? że pół roku siedział, to zarab łobuz? W pracy robiła mu sceny zazdrości, wpadała do biura i robiła awantury koleżankom, a potem groziła, że jak rozwód nie dostanie, to sobie życie odbierze.

Teraz zeznaje główny lokator domu, gdzie ostatnio mieszkali. Pani C. często mówiła świadkowi, że jak ma jakie rachunki, niech śmiało idzie do męża. Nie ma go co żałować, bo on ma pieniądze, tylko nie daje. A ona lubi wszystko zatać przy świadkach, tylko teraz to ze sobą nie rozmawiają, tylko jak jest jakiś interes, pisza do siebie listy. Niestety, ma ona taki zwyczaj, że

listy do niego zostawia na oknie w kłozecie, a zabierać je stamtąd jest dla niego bardzo poniżające.

Świadek Ch. zeznaje, że pani C. nie szanowała matki męża i psy na niej wieszała, utrzymując, że żyła z własnym ojcem. Podczas okupacji szantażowała męża, że naśle mu Niemców, bo on jest żydowskiego pochodzenia. Robiła mu o wszystko awantury: żeby zdejmował buty jak wchodzi do pokoju, bo podłogę zadepcze, wymawiała, że spóźnia się na obiad. W 1952 roku, jak leżał w szpitalu, była w męskim towarzystwie na koncercie, a potem wymyślała przed dzieckiem na męża, że grozła nie daje, a znów innym razem placząc pożyczyla od świadka 100 złotych, bo przy małym dziecku nie może iść do pracy.

Teraz zjawia się jakaś kobiecina, zdyszana i w przekrzywionym kapeluszu. To taki żeński Elpenor, że powołamy się na Homera i na Giraudoux, „ten — który wszystkie mu asystuje”. Z zawodu wdowa. Jak stwierdza, sama Opatrzność postawiła ją na drodze pani C., żeby zgłębiła jej sekrety. Bo ona też mieszkała w Leśnej Podkowie i przyszedł właściciel pensjonatu i zapytał gdzie mieszka pani C., bo skierował go do niej pewien elegancki pan, który nie zapłacił rachunku i powiedział, że ona za niego zapłaci rachunek, i teraz on jej szuka. Więc ona czym prędzej pobiegła z nim do pani C. której adres przypadkiem знаła i teraz już wie na pewno, że to był kochanek tej pani, bo po cóż by za niego płaciła?

Teraz zeznaje mąż. Ma lat 39 i również tytułuje się inżynierem — widać do taki inżynierski dzień. Od roku 1952 nie żyje z żoną, tylko przesyła pieniądze na dziecko. Od 1952 roku? — pyta sędzia. — Nie, od paru miesięcy, odpowiada, jakby tak właśnie było w porządku. Kiedy ją poznał, mówiła, że jest wdową, dopiero potem okazało się, że mąż uciekł i mieszka w Szwajcarii, jest więc bigamistką. Mówiła o nim „żydowski Wojtek”, że się wyrażała o jego rodzinie, a on ją ciągle kochał, chociaż podczas okupacji, kiedy była kelnerka, stała wracała pijana do domu. „Cóż, jestem człowiek jak każdy inny, tylko żyłem ciągle pod tym strachem. Ona ma taki charakter, że z uśmiechem każdego zamorduje, świetna z niej aktorka. Ale ja ją ciągle jeszcze kochałem. Uciekałem z domu, trzy razy zmieniałem mieszkanie, ale kiedy przypadkiem spotkałem ją na ulicy i siedem pół kroku przed nią, to mówiła, że nie podtrzymuję jej prestiżu. Komediantka z niej, mądonnę odgrywa, a rzuciła we mnie popielniczką! Teraz żąda sto tysięcy za mieszkanie, słyszał kto kiedy o takiej sumie? Że byłem sądnym?

pracować. To bufon, uderzył ją w twarz, kiedy chciała na dziecko pienieędzy, musiała zanieść skargę do Rady Narodowej. Na dziecko nie chciał nigdy dawać, dopiero od 7 miesięcy posyła po 120 złotych, kiedy ona daje matce 400 złotych miesięcznie. Jak się sprawy pomyślnie ułożą, ufunduje ryngraf. A on zawsze kradł i przebywał w złym towarzystwie.

— No dobrze, nie dawałem ci po 1200 złotych miesięcznie?

— Ale tylko przez pół roku.

— A ten złoty Schaffhausen?

Dławi się oburzeniem.

— Ten złoty Schaffhausen to dostałam za syna i nigdy ci nie groziłam, to już nieprawda!

— A plac do połowy na twoje imię przepisany, to co?

I tak dalej, i tak dalej. Sprawa odroczone.

Czytelnik wyrobił już sobie sąd o tych ludziach, ale dla pamięci zróbmy rozumowany wyciąg z chaosu ich poplątanych zeznań. Więc najpierw, z jakiego to kręgu wyobrażeń piętnuje się z oburzeniem kobietę, że kiedy mąż wraca do domu, „nie ma nawet szklanki gorącej herbaty”? A matka dodaje, że musiała snuwać przygotowywać koszulę i skarpetki, bo synowej się nie chciało. Czy naprawdę ktoś musi za kogoś spełniać te czynności, i czy to tak trudno samemu nastawić sobie herbaty albo wziąć z szafy koszulę? Kobieta pracuje jak mężczyzna, takie zarzuty, to pretensje z dawnych czasów, gdy mężczyzna żył całą rodziną. Pani C. pracuje dziś na siebie i na swego syna, w czasie okupacji pracowała jako kelnerka, a jak ciężka to była praca, wiele z nas pamięta. Wychodzi za mąż, i pierwsze małżeńskie zarządzanie: mąż każe rzucić pracę. Chce mieć żonę „dla siebie”. Ale mijają pierwsze chwile małżeńskich upoi, i kobiecie której zabroniono pracować nie daje się teraz na życie — pomimo że z tego hojnie desypywanego miała uciulała się chyba niegorsza fortunka, nim się poszło siedzieć.

Więc zła żona — no i oczywiście zła matka. Najpierw nie chciała rodzic, a kiedy urodziła syna, oddaje go swej matce na wychowanie. Dobrze zarabiający mężczyzna daje własnemu dziecku po 120 zło-

go potomka, któremu się przekazuje nazwisko i inajtek?

Ale znówu kobieta? Chciwość przebija z każdego jej słowa. Handlowała beczelnie urodą a cała jej troska życiowa nastawiona jest wyłącznie na „prestż”, który się sumuje w wyprzedzaniu o pół kroku męża na ulicy i porozumiewaniu się z niemilymi „właścicielami mieszkani” przy pomocy listów pozostawianych w kłozecie. Atmosfera dalszczyzny i gorzej jeszcze, ochrzczona przez Zapiłską pół wieku temu i dotąd z niezmiennym niemal słownictwem żyjąca nie tylko na scenie, ale w codziennym obiegu. A z jakiego kręgu fundowanie tego ryngrafu, te wierzenia religijne, co to nie chronią przed zrobieniem żadnego świństwa, ale trwają jak relikwii, który się odkopuje z przyzwyczajenia?

Napisałam „i gorzej jeszcze”. To ja byłam autorką artykułiku w podziemnej prasie, który zrobił pewne wrażenie: „Pani Dulska pracuje w Gestapo”. Wojna, nasilając atmosferę przeżyć nasiliła i zaostriżyła charakterystykę. Wiemy, z jakiego kręgu ten rasizm, kalumnie rzucane na rodzinę męża, groźby, że „sprowadzi Niemców”. Wstrętne mieszczańskie wady skulminowały tu we współpracy — jeżeli nie realnej, to w zamierzeniu — z hitlerowcami.

To już jest dno.

## II

Sędzia P., który rozstrzyga sprawę w tej sali w asyście dwóch innych sędziów, uprzedza, że w dniu dzisiejszym będą one rozpatrywane pod pewnym szczególnym kątem. Mianowicie pary zostały wezwane bez świadków jedynie dla próby pogodzenia. Nie wiem, czy wszyscy, którzy osobiście nie mieli do czynienia z rozwodami, znają tę procedurę: po złożeniu skargi i pierwszym przesłuchaniu świadków następuje specjalne posiedzenie poświęcone próbie pogodzenia małżonków. Zaprotokolowane. daje ono oczywiście sądowi dodatkowy materiał, po czym, w zależności od rezultatu, zostaje dopiero wyznaczona ostateczna rozprawa. „Będzie to dość jednostajny korowód — uprzedza dalej sędzia — i niewiele dowiemy się z niego o ludziach. Po prostu przez salę przedelfuje kilka-

mówienia „nie” — dość duży to będzie materiał.

Tymczasem nie wyszliśmy poza klasyczne już dziś określenie Engelsa: „Rodzina monogamiczna opiera się na władzy mężczyzny, a wyraznym jej celem jest rodzenie dzieci, których ojcostwo byłoby bezsporne. Ta pewność ojcostwa wymagana jest dlatego, że z czasem dzieci jako naturalni spadkobiercy mają odziedziczyć ojcowski majątek”.

Wynotowałam sobie tego dnia jedenaście spraw. Za mało ich oczywiście, żeby to uważać za przekrój. Jedenaście spraw z innego dnia mogło być diametralnie różnych. Będę chciała przedstawić czytelnikowi niektóre z nich w pewnym uporządkowaniu, żeby nie nużyć wielością szczegółów.

Więc najpierw: jakiego pochodzenia społeczne były ludzie, którzy przyszli tego dnia do sądu, żeby się godzić? Przeważnie to żywił męski, w przeciwnieństwie do dwóch spraw o alimenty, którym asystowaliśmy niedawno a gdzie występowały dwie dziewczynki. Byli to więc drobni właściciele handelek, prawniczych posesyjk, prześlęczeni z biegiem czasu w jeszcze drobniejszych urzędniczkach czy pracowników uspołeczonego handlu. Takich par — ludzi przeważnie starszych, u których już dawno nastąpiło to, co prawo nazywa „trwałym rozkładem pożycia małżeńskiego” — podamy trzy. Dwie sprawy (a więc ogromny procent, gdy już uznaliśmy nasz dzisiejszy przekrój za przypadkowy) dotyczyły ludzi siedzących w więzieniu, notorycznych pijaków i urwopolców. Maltretowali oni żony, które obecnie, zaznawszy swobody chcą kompletnie wylać się spod jarzma. Pojedynczy wypadek, gdzie mąż wnosi powodztwo z uwagi na chorobę żony, gruźlicę. Wreszcie dwa wypadki, zapewne najciekawsze — dotyczyły młodziutkich małżeństw robotniczych. Rozpatrzmy te pierwsze: małżeństwa starszych ludzi, drobno-mieszczan, którzy od lat z sobą nie żyją i zapragnęli ulegalizować sytuację bądź dla zawarcia nowych związków, bądź tylko rozrywając stare. Dębowe, twarde ławy są jeszcze puste, pod oknem sąd w trzech osobach, koło drzwi stolik woźnego, który raz po raz wstaje i otwiera drzwi, wywołując numer sprawy i nazwiska małżonków.

Ale za drzwiami ruch i gwar. Jak dzieci przed egzaminem, siedzą tam w dwóch ławkach młode i starsze kobiety, młods i starsi mężczyźni w towarzystwie swoich adwokatów. Rozmawiają o własnych i cudzych wypadkach, komunikują sobie ciekawsze szczegóły, zasięgają pośpiesznych i spóźnionych rad, szukają przykładów i doprawdy jak uczniowie na egzaminie dopytują się u wychodzących: o co sędzia pyta? co najlepiej odpowiedzieć? jak się zachować, by się jak najlepiej wydać? Kobiety starannie ubrane, świeżo ondulowane, wprawdzie to epilog małżeństwa, ale zawsze małżeństwa. Zwraca uwagę śliczna młoda kobieta z daleko posuniętą ciągą, zapewne świadek. Mężczyźni boczą się na żony. Adwokaci porozumiewają się beztrósko między sobą; jedyni to tutaj ludzie, którzy nie mają do siebie żadnych pretensji i z góry beznamiętnie wszystko przewidują.

Wejźmy na salę, bo oto rozpoczyna się pierwsza sprawa: państwo Sz. On ma lisi profil, ona jeszcze przystojna, tegawa, nieco starsza. Pobrali się w roku 1934, żyli z sobą do 1945, a więc jedenaście lat. Dzieci nie mieli. Przetrwali razem wojnę, która ich w rezultacie rozłączyła. On był w Niemczech na robotach, ona, brutalnie wytrącona z bezwładu kobiecego mieszczańskiego życia, zaczęła nieco handlować. Po skończonej wojnie niby znów się odnaleźli, kobieta próbuje nawrócić do dawnego życia. Przed wojną wszystko zdawało się łatwe, on zarabiał, ona gospodarzyła. Wojna się skończyła, on pracuje w pewnym instytucie, gdzie ma około półtora tysiąca. Ona rzuciła handel, pewna, że znów wszystko od niego dostanie. Ale tak się nie stało: przywykł do swobodnego życia, musiała zacząć pracować. Fachu nigdy nie miała prócz tak zwanego gustu, co zdecydowało o wyborze zawodu. Pracuje w spółdzielni kra- wieckiej, gdzie zarabia około 700 złotych. On może sobie na niedługo pozwolić, ona musi się bardzo ograniczać. Z początku wydawało jej się to śmieszne, potem głęboko tragiczne. Teraz mąż wnosi o rozwód, żona mu jest ciężarem. Dla sądu na-zywa się to „niegodność charakterów”. Ona śledzi go spod oka, gdy sędzia zadaje stereotypowe pytanie. Czy się pogodzą? — On: „ja za żadne skarby”. To znaczy, że nie chce wymienić sumy. Czy ona zgadza się na rozwód? — Ona: „namyśle się jeszcze”. To znaczy: skalkuluje, jak mi się lepiej opłaci.

Druga para, państwo S. On ma lat około 60, ona niewiele mniej. Pobrali się w 1926 żyli z sobą tylko rok. Od tego czasu trwają w rozłączeniu, on w jakiejś spółdzielni, gdzie zarabia około tysiąca złotych, ona jako magazynierka, ma 560. I

on i ona połączyli się na stałe z jakimiś innymi ludźmi, z którymi jest im lepiej. Może chcą oboje zawrzeć na stare lata nowe związki. „Czy już nie zostało między wami żadnych uczuć?” — pyta sędzia.

— Nie, nie absolutnie — mówi mąż, podczas gdy ona dziwi się lagodnie:

— Po tylu latach rozłączenia?

A oto trzecia para tego samego typu, ale tu sytuacja zawęzła się dramatycznie, namiętności grają, w grę wchodzi zacawmione prensje i liczne, już dorosłe dzieci. Pobrali się w małym miasteczku około roku 1932. Miel tam kawałek gruntu, dom i sklep. Jej rodzice również mieli sklep w miasteczku. Po kolei przychodzi na świat troje dzieci. Dorastają one, ale sytuacja zmienia się radykalnie. Skończyło się patriarchalne gospodarowanie na własnym podwórku, gdzie się handlowało przy pomocy krewnych, jak i kiedy się chciało. Tamten sklep został uspołeczniony, trzeba szukać innej pracy, w pierwszej chwili każdy się buntuje, że ma być kontrolowany tam gdzie wiewier rzadził samowładnie. Mężczyzna zostaje przy swoim zawodzie, obejmuje kierownictwo jakiejś placówki spożywczej w Warszawie i nieźle zarabia, ma z premiami ponad tysiąc pięćset złotych, ale w zmienionych warunkach zaczyna na wszystko skąpić. Nie daje żonie na utrzymanie, głodzi dzieci, coż to jest 7 złotych na obiad dla pięciu osób, to po prostu głód. Kobieta zaczyna się buntować, tak dale być nie może, rozchodzi się. Mąż szuka towarzystwa poza domem, zaczyna się bawić, dzieci dorosły, najstarszy syn ma już 22 lata, jest w wojsku, młodszy kończy szkołę, ma lat siedemnaście, mieszka niby to z ojcem, ale niemal codziennie przychodzi do matki na obiady, bo ojciec ma pilniejsze wydatki. Piętnastoletnia córka mieszka z matką.

A w niej — w matce — zaszły ogromne zmiany. Kobieta była inteligentna, zaczęła się uczyć, od sklepu w małym miasteczku zrobiła ogromny krok naprzód. Znalazła sobie dobrą posadę przy jakiejś instytucji naukowej, podciągnęła się, uczy się dalej i awansuje, zarabia już teraz około półtora tysiąca; t a k i mąż nie jest jej potrzebny, wnosi wreszcie — teraz, kiedy ma lat przeszło pięćdziesiąt — o rozwód.

Sędzia łagodnie ponawia swoją propozycję, którą już tyle razy czuś wypowiedział, ale i tym razem nie znajduje zrozumienia. Twarz męża układa się w aktorskie zmarszczki, kiedy wykrzykuje:

— O pojednaniu nie może być mowy! Pan sędzia mówi o dwudziestu latach pożycia. Ależ ona dwadzieścia lat mnie nie kochała, dwadzieścia lat kłamała miłość, dwadzieścia lat mnie oszukiwała.

Żona wzrusza ramionami:

— A bo zamiast się łajdaczyć dalby lepiej chłopcu na garnitur, widział, że w dziurach chodzi a ja na gwoź nie nastarczę.

Mąż, słyszy jedno tylko:

— Łajdaczyć? Ja nie mam nikogo, to przecież ty masz kochankę.

Kobieta spokojnie zwraca się twarzą do sądu:

— Ty to nazywasz, że nie masz nikogo, bo masz co dzień inną. A ja, to prawda, ja mam kochankę. Od dwóch lat żyję z człowiekiem, którego pokochałam i który mnie kocha. Chęć zostać jego żoną.

Wyrosła mu koło nosa, ani się spostrzegł. Nie zejda się na pewno, Sąd wyznacza termin sprawy.

Cóż skojarzyło te małżeństwa trzydziści czy dwadzieścia lat temu? Wspólne interesy materialne, konwencja burżuazyjnego świata, nierzadko sklep, w którym się razem pracuje i skąd się czerpie dochody. Warunki się zmieniły, świat okiecił się dokoła osi, okazało się, że tych dwojga ludzi nie już teraz nie łączy. Skoljarzeni w określonych stosunkach produkcji, rozpadają się niemal automatycznie z chwilą, gdy stosunki te przestają działać. Rzadko tylko i nieliczni umiają się dostosować, jak widać niewątpliwie na przykładzie tej matki trojga dzieci, która w wieku pięćdziesięciu lat potrafiła mocno stanąć na nowym gruncie. Reszta ginie razem z fałdą, która ichniosła.

A oto rozbitkowie nowej epoki. Młoda żona wchodzi na salę w towarzystwie swobodnego adwokata, Janusz B. siedzi w więzieniu. Pobrali się w 1934, mieszkali razem do 13 marca. Ale nie był to nigdy mąż, jak się należy.

— Bil mnie, stałe mnie rozbijał, kiedyś skopał do nieprzytomności, a jak leżałam na podłodze półprzytomna — uciekł.

Potem się okazało, że sprzeniewierzył trzy tysiące złotych, które przewoził dla swojej fabryki. Okazało się też, że biorąc z powódki ślub cywilny miał już z inną kobietą ślub kościelny. Kiedy się o wykrzyło, oświadczył spokojnie „ja takiego (cywilnego) ślubu nie uważam”. Dla nas jest kwestią sporną, którego ślubu „nie uważa”.

I druga taka sama sprawa i ten wspólny nek nie siał się, i ten siedzi w więzieniu, przysłał tylko



Rys. W. Majchrzak

Tak, ale to drobiazg. Miałem skład węgla i zostałem oskarżony, że dopisuję 20 proc. miatu, siedziałem pół roku a potem wyszła amnestia i wydostałem się na wolność. Ale w małżeństwie nie dałem jej pracować, choć i tak najmniejszej rzeczy w domu nie zrobiła. Początkowo nie chciała mieć dziecka, ale mieliśmy syna”.

Teraz zeznaje ona, jej dumna twarz nie zmienia wyrazu ani na chwilę. Ma 45 lat, jest od męża starsza. On od pięciu lat nie chce z nią żyć. Zawodu nie ma, teraz pracuje w spółdzielni, pracowała jako kelnerka, ale mąż jej nie dał

tych miesięcznie, i to dopiero od 7 miesięcy, zaruszony wyrokiem, choć od dwóch lat rosłał się z żoną. Zła matka utrzymywała i ubierała dziecko, które teraz korzysta z pięknych, szumiących drzew i balsamicznego powietrza Podkowy pod troskliwą opieką babki. A jest to przecież dziecko, którego inżynier C. namiętnie podobno pragnął i które podobno jeszcze teraz równie namiętnie kocha. Ale znówu z jakiego kręgu wyobrażeń jest ten „Schaffhausen za syna”? Jak daleko musimy się cofnąć, żeby znaleźć źródło wynagradzania małżonki i źródło męskiej radości z prawowite-

\*) Jak wiadomo „klempa” to samica jelenia, po prostu łania, nie jestem więc pewna czy to obraza.



# SĄDEM

listo przez swojego adwokata. Jak oświadcza adwokat, klient jego już po raz trzeci odsiadyuje karę więzienia, tym razem skazany „zaledwiec” na sześć miesięcy. Nie ma co ukrywać — złodziej. Mimo to oskarża żonę, wnosi o rozwód, kobieta mu nie dogadza, chce być wolna. Żona, blada i zniszczona, płacze:

— Co mnie oskarżył, sam wyprawił... — mówi wśród łkań, ale czeka na niego i chętnie by się pogodziła.

A oto trzecia sprawa, szczególnie bolesna. Młodzi małżonkowie T. wchodzi razem z towarzyszytwe swoich adwokatów. Ona polyka się p.zechodząc przez progi, jest bardzo słaba. Oboje nieładni, oboje młodzi, oboje krótkowzroczni. On ma lat 28, ona 26. Pobrali się w 1946 roku, dwoje dzieci, Eżbieta urodzona w 1946 i Krzysztof w 1948. On pracuje w CDT, ma 940 złotych, ona w młeczarni zarabia 500. Niewiele to, jak na cztery osoby, przy tym są chorzy, wymagają leczenia, którego zresztą Państwo im nie skąpi. Kto, pyta sędzia, kto jest chory? Nie oświadczył.

Z twarzy kobiety przez cały czas nie schodzi wyraz bolesnego napięcia. Z nieprzytomnym uporem patrzy na usta męża, kiedy on mówi. Kto jest chory? Oboje dzieci mają gruźlicę. Jedno i drugie było w sanatorium, jedno i drugie zostało niby zaleczone, ale u Krzysztofa jest nawrót tej strasznej choroby; a u dziewczynki też można się tego obawiać, choć czuje się nieco lepiej. Krzysztof już po raz drugi jest w sanatorium na Śląsku, dawno go nie widziała.

Sędzia patrzy ze współczuciem w szarą twarz kobiety. Powtarzając swoją formułę ma ton cieplejszy i bliższy. Kobieta ożywia się. Jakże chętnie pogodziłaby się z mężem! Ale on nie chce zgody.

— To ty zaraziłaś nasze dzieci, to od ciebie mają tę chorobę — powtarza.

Sędzia namawia z zawodowym uporem:

— Jesteście oboje tacy młodzi! Dzieci się wyleczą a pani też będzie znów pracować. Nie ma takich spraw, których nie można by przebaczyć czy zapomnieć.

— Pogódźmy się — prosi kobietę — nasze dzieci potrzebują nie tylko matki, ale i ojca.

Nie tylko matki — to już ustalone. Bo nie ulega żadnej wątpliwości, że matka nigdy ich nie opuści. Sprawa wyznaczona na koniec sierpnia.

I znów zwróćmy się do Engelsa: „To co dla kobiety uważane jest za przestępstwo... dla mężczyzny jest chluba”. Małżeństwa, na które parzyliśmy, były to małżeństwa ludzi starszych, większa część ich życia upłynęła w innej, kapitalistycznej produkcji, a co za tym idzie, w innej atmosferze moralnej. Oczywiście stosunki te demoralizowały znacznie więcej mężczyzn niż kobiety. Każdy z młodych ludzi, którzy dziś przewijają się przed sądem, wychowany był w złej atmosferze podwójnej moralności, a trudno wyzbyć się przesądów, w których człowiek się wychował. Sytuacja mężczyzn zmienia się radykalnie w „lasy” oczach, ale oni jeszcze tego nie widzą, tym bardziej, że, jak pokazaliśmy na przykładach, mężczyzna ogólnie wzwyższy zarabia jeszcze przeciętnie więcej od kobiety. Rozwody ludzi młodych nie oparte już na dawniej działających prawach ekonomicznych przedstawiają jednak przykłady takiego zdemoralizowania mężczyzny na skutek złego wychowania i wzorów postępowania ludzi starszych, nieopanowanych instynktów, nad którymi nikt nie chce panować. Porzuca się kobietę mało zarabiającą, porzuca się kobietę chorą, porzuca się kobietę w ciąży. Bo o to ostatnia dziś, najboleśniejsza sprawa.

Na salę wchodzi dwoje bardzo pięknych, młodych ludzi. Niestety, śliczna młoda kobieta z daleko pośuniętą ciążą, którą widzieliśmy na korytarzu, przyszła tu nie jako świadek, ale jako pozwana! Doprawdy, naprzeciw im się nie można. Młoda brunetka ma mnóstwo loków na głowie, twarz okrągła jak u lalki, kształt ładnych ust podkreślono pomadką, biała suknia w duże kolorowe kwiaty opina mało dyskretnie figurę przyszłej matki, ukazując niewzrusznie bliskość ciężkich chwil. Chłopak nie ustępuje jej w urodzie. Pseniczna czupryna faluje nad białym czołem. Młodzieniec rzuca głowę, jak to jest w zwycięstwie u warzawskich elegantów, żeby włosy lepiej leżały. Dobrze, że nie „mandolina”!

To 32 rocznik, ma dwadzieścia trzy lata. Żona nieco starsza od niego, ma lat 25. On pracuje jako tokarz precyzyjny w jednym z przedsiębiorstw państwowych, zarabia około 2 tysięcy złotych miesięcznie. Ona pracuje też i od dawna w Domu Dziecka, gdzie zarabia 650 złotych. Razem to ładny grosz, ale gdy kobieta zostanie sama? Tokarz utrzymuje podobno rodziców i siostrę — czytają „Inicjatywa prywatna”, gdzie można znaleźć źródło dochodów, bo trudno uwierzyć, by

tak młody chłopak był dzieckiem dwojga niedołężnych starców.

Poznali się przed czterema laty, oboje już pracowali. Widzę go, jak wchodzi do magazynu: zobaczył przez szalbę ładną twarz, znajduje jakiś pretekst. Przechyla się przez ladę, patrzy z bliska w oczy ekspedientki, rzuca głowę, żeby odsonić czoło, na które opadają jasne włosy. Codziennie widzimy ten gest, codziennie w godzinach najmniejszego ruchu — gdzieś ku wieczorowi — setki młodych chłopaków z pszeniczną czupryną przechylają się przez ladę do zarumienionych sklepów ch dziewcząt, szepcząc czułe zapewnienia i pognęte propozycje. Umawiają się na pierwsze spotkanie. Są jak dwoje małych dzieci, dą do tramwaju, trzymając się za ręce.

Jak wynika z rozmaitych niedomówień, wkrótce zaczęli „chodzić ze sobą”, czyli mówiąc bez ogródek, żyją ze sobą od czterech lat. Wido- cznie nie najgorzej układało im się to pożywie, skoro dnia 19 grudnia 1954 roku poszli do Urzędu Stanu Cywilnego.

— Od jak dawna więc nie mieszka- kacie razem? — pyta sędzia.

Młodzieniec znów rzuca głowę, pszeniczny lok spada mu na oko. Nie spiesząc z odpowiedzią, wymu- je z kieszeni lusterko, grzebyk, i tu, że tak powiem: w obliczu są- du, zaczyna się starannie czesać. Przechyla głowę, przygląda się so- bie z nietajonym zadowoleniem, wreszcie zasuwa lusterko do kie- szonki i odpowiada z dezynwolturą.

— Od samego ślubu.

— To nieprawda — krzyczy mło- dziutka żona.

Sędzia nie zwraca uwagi na efek- towne oświadczenie młodzieńca, nie takie już rzeczy sąd słyszał! Z niez- maczną słodyczą pyta znów:

— Obywatelka oczekuje dziecka. Nie jest to odpowiedni czas na roz- wód. Może się pogodzić?

Młody małżonek potrząsa czup- ryną, odrzucając ją w tył jednym ruchem głowy, tym razem obcho- dzi się bez lusterka.

— Nigdy — mówi głośno i wy- raźnie — gdybym miał wybrać śmierć lub pojeżdżanie, śmierć bym wybrał bez żadnej wątpliwości!

Tak on powiada pięknym, litera- ckim językiem. Co to jest umieć czytać! Mówi „lub” zamiast „czy”, mówi „bez żadnej wątpliwości”.

— A pani? — pyta sędzia.

Mała kobietka uśmiecha się męż- nie ale z wysiłkiem.

— Ja, proszę sądu, ja... — i wy- buch: — Ja go Kocham! Ja chcę z nim dalej żyć! Ja chcę się z nim pogodzić!

Tokarz patrzy na nią z góry, ko- lysząc się zwycięsko z nogi na no- gę. Zna już tę śpiewkę.

— Wolę śmierć — powtarza pa- tetycznie.

— To przez cztery lata się zasta- nawiałeś, a teraz, kiedy jestem w ciąży...

— Kiedy spodziewa się pani dzie- cka? — pyta sędzia, żeby odwrócić jej uwagę.

— Za dwa tygodnie, a tym...

Monolog znów grozi przejściem w niebezpieczny dialog. Trzeba to skończyć. Sędzia mówi po naradzie:

— No, skoro próba pojednania nie dała żadnego wyniku, wyzna- czam sprawę na dzień 31 sierpnia. Czy to państwu dogadza?

— Ja będę na sali — mówi mło- dy małżonek.

A ona:

— I ten nóż, którym mnie chcie- łeś zarznąć, też będzie na sali!

Ale chce się pogodzić. Z jakiego to kręgu pojęć, że kobieta zawsze chce się pogodzić? Oczywiście roz- wodu nie dostaną, ale powiedzmy tak z ręką na sercu; czy to lepiej?

Młody przystojny chłopak roz- wydrżony powodzeniem i dobrymi zarobkami, kochał dziewczynę poły- kając ją miłością nie miała skutków, teraz radby zerwać wszystkie wię- zy i zacząć życie na nowo. A prze- cież to świeże małżeństwo, dojrzało po wojnie, nie powinni mieć żad- nych naleciałości. Ale działa wy- chowanie i przykład, tradycja mus- kiej „wolności”, tym bardziej dziś tyrańska, że przestały działać przy- czyny cementujące dawne, burżu- azyjne małżeństwo. Obietnice, czy młoda kobieta jest kochanką czy żoną. Jest przeszkodą, jest obowiaz- kiem. I to wystarcza, żeby ją zni- nawidzieć.

Zajrzymy jeszcze raz do Eng- elsa: „Zbliżamy się obecnie do prze- wrotu społecznego, kiedy dotych- czasowe ekonomiczne podstawy mo- nogamii nieuchronnie znikną... mo- nogamia zaś zamiast zginąć stanie się wreszcie rzeczywistością także dla mężczyzn”.

Engels rozwinął przed nami obraz społeczeństwa przyszłości, i koń- czy: „I tu wchodzi w grę nowy mo- ment: Indywidualna miłość płcio- wa”.

Do tej miłości trzeba wychowy- wać młodzież.

Wanda Melcer

W losna była długa, dżdżysta i z mna. La- to wybuchło nagle u- palami, jakich dawno nie pamiętano. Miesz- kanie starego Piotro- wicza wyszło jak trzaska. Przez otwarte okno, nad którym olbrzy- mia topola szumiała jak wodospad, słychać było głosy ulicy i jeszcze dalsze głosy kopalni, za którą spe- sznie, mocno, dniem i nocą ody- chała huta. Piotrowicz zmienił zie- mię w skrzynce za oknem i posa- dził fasolę, która rosła bujnie, a kwitła obfitym, pomarańczowym kwiatem.

W marcu i kwietniu wydawało się, że zbutwiała nadbudówka nad murowanym parterem namokła już tak, że rozpamięta się pod mocniej- szym pchnięciem wiatru. Niebo hu- czało nocami nad miastem jak mor- rze, ale dom stał nisko, ukryty wśród młodszych i wysokich kame- nic i choć wichry uderzały z góry potężnymi falami i rozlewały się szeroko, nie za aczały o niego.

Piotrowicz mało spał. Nasłuchiwał się w swojej samotności co noc wi- chrowej burzy i szumu deszczowej wody. W dzień siedział przy warsz- tacie w grubych botach filcowych, z kocem na kolanach, w płaszczu narzuconym na ramiona i naprawiał zegary. Człł się lepiej, gdy oprócz wichru i deszczu słyszał ich mru- czenie, głosy rozmów u sąsiadów i gromki tupot dziecięcych nóg na schodach. W dzień również inne, dalsze głosy z zewnątrz przebiegały ryk wichru i łocierali do jego izby — warkot ciężkich samochodów i traktorów z ulicy, która tętniła piela się pod górę, gdzie budowano nową, wielką dzielnicę miasta. Piotrowicz był wówczas bliższy życia, od kło- rego oddzielała go nocna samotność.

Koło południa przychodziła do niego Marynka od sąsiadów. Pocią- gała ostro nosem, podsuwała star- mu gazetę i przez chwilę, posapu- jąc z emocji, przyglądała się jego robocie. Pudło zegara, wypaproszo- ne z mechanizmu, leżało najbliżej oczu dziewczynki, ale jej uwagę przykuwały błyszczące drobizy, którymi zajmował się zegarmistrz. Kiedyś zapytała: — Bardzo chory?

Piotrowicz spojrzał na dziecko. Nie zdjął łupy z oka, wyglądał więc trochę strasznie. Zapytał: — Kto?

Wskazała z daleka na puste pud- ło zegara: — On.

Piotrowicz zaśmiał się: — Nie bardzo. Stary jest, trzeba go pod- kurować. Pożyje jeszcze długo, po- służ. Z zegarem łatwiej niż z czio- wkiem.

Marynka nie wiedziała, co znaczy „podkurować”, ale nie zapytała. Od- sunęła się w stronę drzwi, chwyci- ła klamkę. Stary obejrzał się za nią: — Chodźno tutaj. — Podeszła. Pociągnęła nosem, głośniejsz niż zwy- kle. Patrzyli na siebie. Ona — z dzieciinną nadzieją, że dostanie kio- rys z drobizgów, wysuplanych z wnętrzości zegara. On — z myślą o swojej wnuczce, którą widywał raz w roku, gdy go odwiedzała córka. Jego Małgorzata miała tyle lat co Marynka i także nie chodziła jeszcze do szkoły. Zuzanna pisała, dość dawno już że miała sama nau- czyła się czytać. Zdolna jest naj- widoczniej, głowę ma chłonna jak Zuzanna i, jak ona, zajdzie kiedyś wysoko. Ale nigdy nie będzie po- trzebała niczego od dziadka — jak dzisiaj. Więc Piotrowicz wska- zując na zegar na stoliku koło łó- żka powiedział do Marynki: — Dos- taniesz go, kiedy mi już nie będzie potrzebny.

Marynka zaczerwieniła się: — To... kiedy?

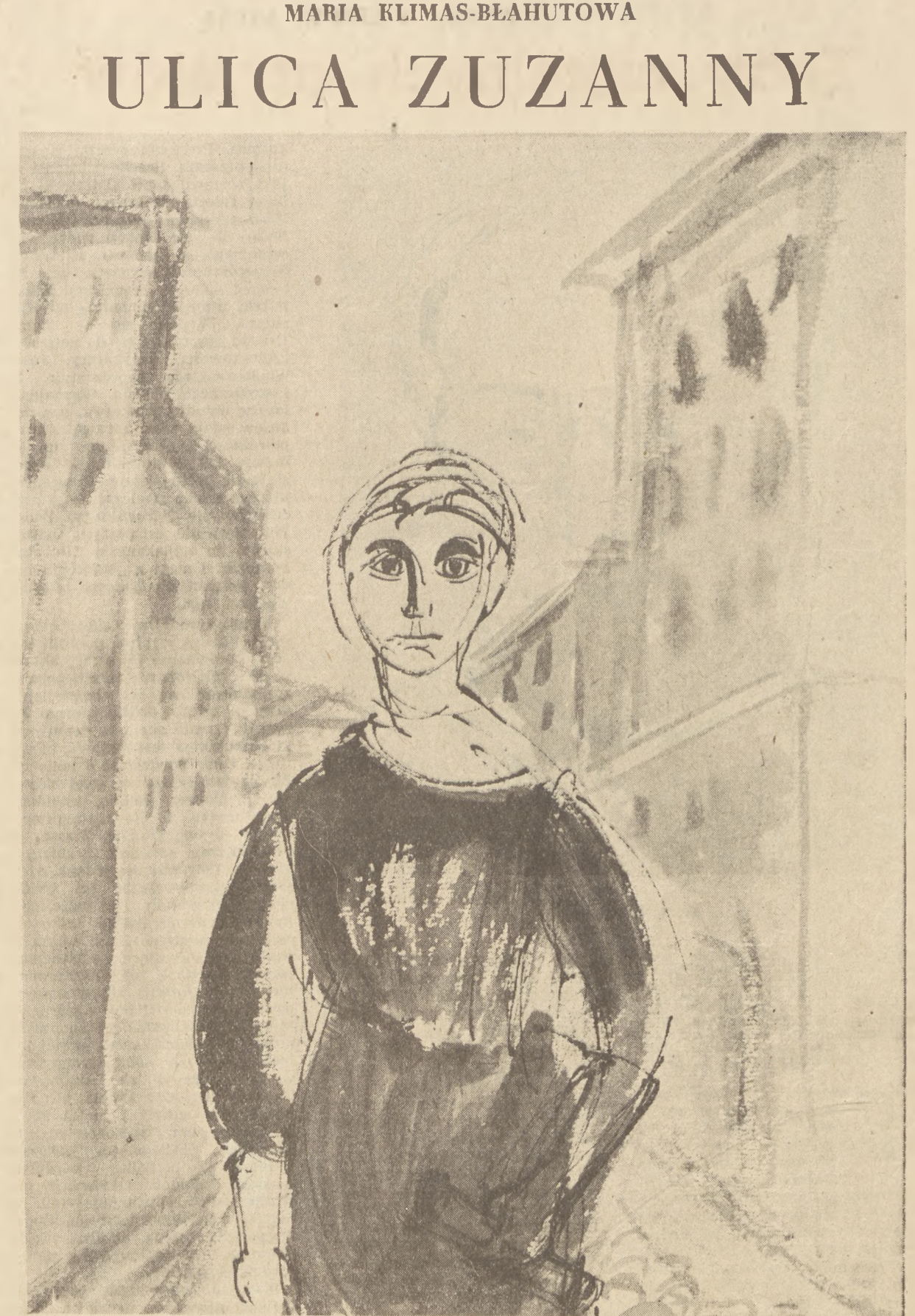
— Czy ja wiem... Może już nie- długo — uśmiechnął się Piotrowicz.

Był to pierwszy zegar jego robo- ty. Z tych czasów jeszcze, kiedy pracował w warsztatach napraw- czych na kopalni. Dokończył go jed- nak już jako bezrobotny, zapenił mu też pierwsze puste miesiące, najtrudniejsze chyba dla człowieka, któremu nagle zabrakło miejsca wśród pracujących.

Budka zegara przedstawiała ce- chownię, nad którą wznosiła się szybowa wieża. Z jednej strony ce- chowni młody górnik tulił i calo- wał dziewczynę, z drugiej — star- szy podglądał i kreślił głowę, zgor- szony czy zziwiony. Pudło i trzy figurki ludzkie, proporcjonalne w kształcie, udatę w ruchu, były ro- boty Piotrowicza. Mechanizm zło- ż, i ze starych części zegarów, kio- e „wychodziły” swój czas. Zegar jed- nak służył dobrze i zanosilo mu się na życie dłuższe niż jego twór- cę. Od czasu tej pierwszej roboty Pio- trowicz przeszedł od amatorstwa do utrzymywania rodziny z naprawy zegarów, które znosili sąsiedzi i da- lsi znajomi. Właściwie — szkoda był- ło jego rąk: go grubej roboty w warsztatach kopalnianych, ale kiedy stamtąd wyszedł i wiedział, aż nad- to dobrze wiedział, że nigdy nie wróci, tęsknił za wszystkim, czym tam żył bardzo z bliska i bardzo prawdziwie. Naprawiał więc stare zegary, o „orych” Marynka powie- działa, że chore. Na takie cuda jak pierwsze jego dzieło nie miał już jednak czasu.

Marynka przychodziła dalej z ga- zetą. Ośmieliła się i zbliżała do sto- lika ze „swoim” zegarem. Trochę ją zawstydzała scena przed cechow- nią, ale wszystko razem podobało jej się bardzo. Piotrowicz dłuhał we wnętrzościach budzików i od czasu do czasu przenosił wzrok na dziewczynkę. Niekiedy wzdychał — chętnie by tu, w swojej izbie, zobac- zył Małgorzatke.

Dwa razy w tygodniu odwiedzała Piotrowicza siostra, Helena. Była sporo młodsza od niego, ale dość



Rys. B. Kusak

stara, by zmęczyć się daleką drogą. Przychodziła, duża, łęga, zadyszana i gniewna. Sisała po drugiej stro- nie stołu, naprzeciw Piotrowicza, wypoczywała, mówiła szybko, o wszystkim. Zawsze pytała o Zuzan- nę. Czy była, może wreszcie ruszy- ła ją sumienie i odwiedziła ojca, przywiozła wnuczkę? Piotrowicz odpowiadał powściągliwie. Czasem tłumaczył siostrze: Zuzanna ma swo- je obowiązki, nie proste, nie łatwe, należy przeczł do ludzi, którzy te- raz budują nowe miasta, a stare przebudowują. Tak, tak, młodzi mają huk roboty... Helena uważała, że w najruchliwszym nawet życiu muszą dzieci pamiętać o rodzicach. Zegarmistrz twierdził, że nikt roz- sądny nie wychowyje dzieci tylko dla siebie. — Zuzanna jest zapra- cowana. A my musimy zwyciężać i po prostu dożywać swoich lat, Helu — powiedział.

Helena myślała, że starość męż- czyzny jest cięższa od starości ko- biecej. Dlatego przychodziła do brata. Kiedy wyrzuciła już swój gniew na Zuzannę, zabierała się ostro do roboty — sprzątała, czy- siła, gotowała, organizowała bratu gospodarstwo na dnie, w które nie przychodziła.

Marynka ploszyła się, gdy zasta- wała Helenę. Podsuwała Piotrowi- czowi „Trybunę” i uciekała dumną po schodach podkutymi obcasami.

Nad domem huczały jeszcze wio- senne wichry, kiedy Piotrowicz przeczytał artykuł o przyszłości swojego miasta. Odsunął łózkę „Cymę”, w której dłuhał od rana, odwołał Helenę od kuchni, wyłożył jej, o czym dowiedział się przed chwilą. — Zuzanna ma pełną głó- wę i ręce roboty. Do 1970 roku — zakończył — bo wtedy cały Śląsk i Zagłębie będą przebudowane i roz- budowane...

Tak więc — Helena ściągnęła ironicznie pełne wargi — zobaczysz się z nią za kilkanaście lat. O ile dożyjesz.

— Nie dożyję — stwierdził spo- kojnie. — Ale parę razy zobaczę ją jeszcze, zanim ukończy swoją ro- botę. Odwiedzi mnie w lecie, przy- wiezie Małgorzatke.

Helena zaśmiała się i wróciła do kuchni.

W nocy Piotrowicz leżał długo bezsenne. Myślał o artykule w ga- zecie i o Zuzannie. Córka wchodzi w pełnię ludzkich lat, bierze udział w śmiałych sprawach, zostawił po sobie dzieło, które buduje nie sa- ma, bo jest nad siły jednego czło- wieka porwać się na takie rzeczy. Piękne jest życie Zuzanny, choć nie ma w nim miejsca i czasu dla ojca. Dotknie Zuzanna ręką domu, w którym żyła przed laty jako dzie- cko

ko — rozleci się stara huta jak przegniły wiklinowy kosz, stanie nowy, mocny, piękny dom. Całą ulicę, gdzie kiedyś biegala i bawiła się mała Piotrowiczówna, trzeba będzie zburzyć i zbudować na no- wo. Jest to przecie... „ulica Zuzan- ny” — nie damo się tak nazywa, choć wzięła imię od żony pierwsze- go dyrektora kopalni, przed laty. Dyrektor wystawił wówczas swojej żonie, siwej damie, słynnej z towa- rzyskich zalet i zamiłowania do imi- tacji paryskiej modeli, pomnik przez nazwanie jej imieniem drogi, która wiodła od zakładów do starej osady górniczej. Ale dziś jest to już ulica córki robotnika — zegarmistrza. Tak też już pozostanie — choćby nazwę ulicy zmieniono.

Co zostanie po samotnym zegar- mistrzu? Pierwsza i jedyna ama- torska robota: zegar-cechownia z szybowa wieżą. „Patrz, Piotrowicz, pobila ci twoja córka...” szepnął stary z dumą i poprawił się na łózku. Zaszleściła słoma w sienniku, zeltala i wytarta po długiej służbie. Piotrowicz westchnął: „Rozspie- my się w proch — ja i ten stary dom, i wiele z tego, co tu nokoło sprochniało i niepotrzebne. Nie bę- dzie też kiegoś Zuzanny i wszyst- kich, co teraz żyją. Ale miasto po- zostanie. Nowe i piękne dzięki mo- jej Zuzannie”. W nawrocie myśli do córki był nie słabnący blask radości i zadośćuczynienia za własne życie. Dlatego Piotrowicz nie zauwa- żył, że wyobraził ją sobie w roli, jakiej ona, być może, nigdy się nie podejmie. Widział jej jednak na uli- cach miasta, które urosło przed laty takie, jak mogło i musiało — od u- rodzenia brzydkie, surowe, szare; miasto wśród kopalń z hutą jak po- tężny, wiecznie czynny wulkan, który je obrzuca dymem i sadzą, dławii i dusi.

Z tych marzeń obudził się Pio- trowicz rano, przy pracy. Tego dnia niebo wreszcie uspokoiło się, a słońce po raz pierwszy od długich tygodni zajaśniało nad mieszkaniem. Piotrowicz siedział przy warsztacie. Niesmiało i niewprawnie szkiwował projekt nowego zegara. Chciał przenieść w robotę, którą traktował jako ostatnią, swoją myśl o tym, co ze starej prawdy o mieście było żywe i godne utrwalenia. Pomyśl był jeszcze mglisty. Snuła się wokół niego melodia mocna i gniew- na, jedna z tych, które rozbrzmie- wały tutaj w czasie, gdy odchodził z kopalni, kiedy — by zagłuszyć w sobie wszystko, co w nim kipiało — stworzył młodego chłopca i dzie- wczynę w gorącym uścisku i starego, który dźwił się przydługiemu po- całunkowi zakochanych. Piotrowicz rysował i odrzucał próby. Niekiedy odkładał ołówek i rozcierał ziębę

nięte ręce. W którejś z takich chwil zauważył, że wszystko, co przed paroma godzinami myślał o Zuzan- nie, wyrosło z pragnienia, aby ona, nikt inny, weszła w przyszłość, któ- rą dla jej rodzinnego miasta plano- wali ludzie z artykułu w „Trybu- nie”. Widziałby ją wówczas czę- ściej — to było także ważne.

Pogoda utrwaliła się. Rozpalone niebo pęczniało od dymów hut. Przychodziła Helena i skarżył. się na duchotę. Piotrowicz słuchał i pracował nad nowym zegarem. Nie- kiedy nucił pieśń, którą miał wy- dzwaniać mechanizm, gotowy już, schowany do szuflady. Helena chmurzyła się i milczała, odchodzi- ła co kuchni: kiedyś, gdy w gorą- cym powietrzu przebrzmiał śpiew, który też z przeszłości wywoły- wał jej brat, stała nad otwartym szybem w tłumie górników. Nie chciała myśleć o tym, choć nie za- leżała niczego. Nie lubiła wspo- mnień.

Któręś dnia listonosz przyniósł list od Zuzanny. Pisała, że przyjeź- dza na kilka dni, zatrzyma się u ojca dla spraw, o których opowie, Piotrowicz przygotował się na przy- jęcie gościa, pożyczyl od sąsiadów otomanę, a Helenę upomniął, by staranniej niż zwykle wyprasowała pościelową bieliznę. Spieszył się również z robotą zegara. Wyobraził sobie, że pierwszy kurant powinien się rozdzwonić w czasie odwiedzin córki.

Koledzy mówili o Zuzannie: inte- ligentna, miła kobieta. To było du- zo i mało zarazem. Dużo, bo świad- czyło o sympatii, mało, bo nie star- czyło, aby jej pracowitość i ambi- cje zostały należyście ocenione. Ci, z którymi wystartowała przed laty, zdobyli rozgłos wśród urbanistów. Liczono się z ich zdaniem, zabiega- no o współpracę, byli niedozwoni w każdym wielkim projekcie. Zu- zanna wydawała się, że statystuje w porywającym dramacie, jaki twor- zą wszyscy jej współcześni. Miała dość odwagi, by podjąć się roli trudniejszej niż ta, jaką spełniała dotychczas. Mówiła się przecież o niej także, że zdolna i pracowita. Te słowa padały jednak rzadziej i nie prowadziły do spraw, jakie powe- rzano jej kolegom. Każdy z nich opracowywał budowę nowego mia- sta lub przebudowę któregoś ze sta- rzych, jej przypadały różne okrawki z potężnego planu, który objął mia- sta czarnego Śląska.

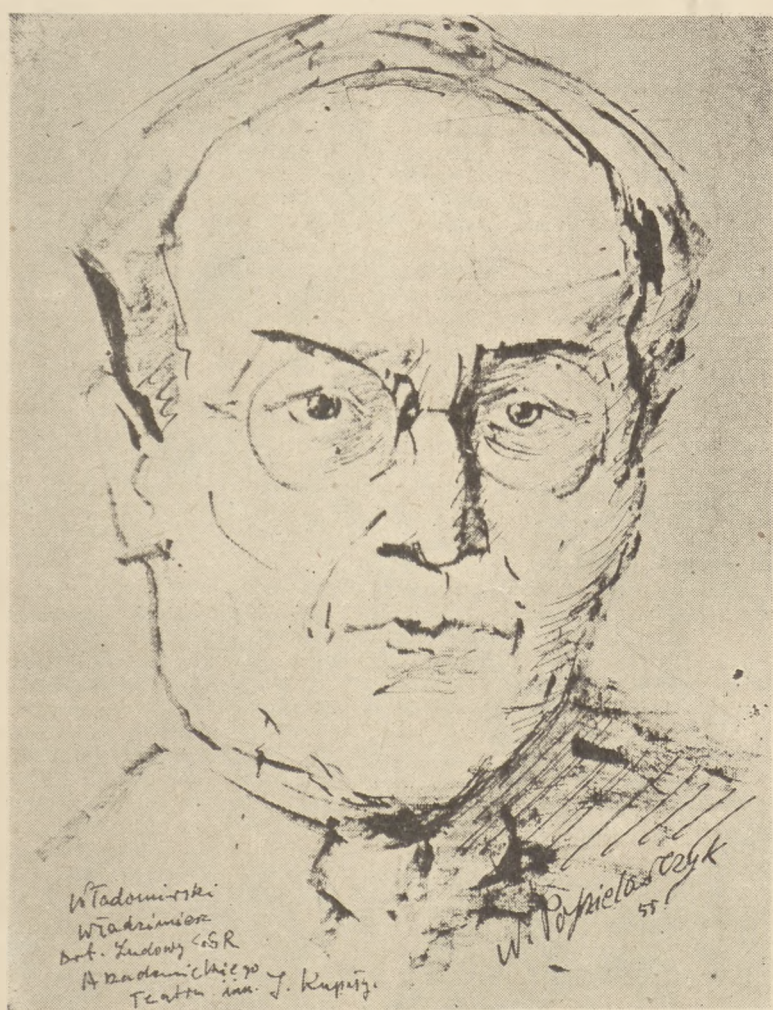
Mąż mówił Zuzannie: „Masz dzie- cko, dom i mnie. Wystarczy na ca-

(Dokończenie na str. 6)



KRYSTYNA BERWINSKA I STEFAN ATLAS

## Teatr rzetelnych artystów



W. I. Włodzimierz

Rys. W. Popielarczyk

Państwowy Akademicki Teatr Białoruski im. J. Kupala. K. Krawiwa: Spiewają skowronki. Reż. K. N. Sanikow, scen. I. M. Uszakow. Szekspir: Romeo i Julia. Przekład K. Krawiwa, reż. L. M. Litwinow. Scen. W. W. Dmtriejew, A. N. Ostrowski. Intratna posada. Adaptacja K. Krawiwa, reż. L. I. Mozolewska. Scen. D. W. Syzczew.

Tradycje narodowego teatru białoruskiego sięgają ledwie kilkudziesięciu lat. Podejmując próbę oceny występów Państwowego Akademickiego Teatru Białoruskiego im. Janki Kupala z Mińska trzeba o tym pamiętać. Nie oznacza to bynajmniej, że należy stosować do tego teatru taryfę ulgową. Przeciwnie, po uświadomieniu sobie tego faktu wzrasta uznanie dla jego osiągnięć.

Nie mieliśmy okazji obejrzeć spektaklu „Konstanty Zastanow” Mowzowa, który jest podobno pięknym osiągnięciem artystycznym zespołu. Wydaje się jednak, że pozostałe spektakle: „Spiewają skowronki”, „Romeo i Julia” i „Intratna posada” dają dostatecznie bogaty i różnorodny materiał, by pokusić się o próbę oceny sił i środków białoruskiej sceny.

Teatr białoruski pokazał nam kilka interesujących kreacji aktorskich. Ale nie indywidualne sukcesy są tu chyba najważniejsze. Godna szacunku jest zespolowość teatru, ogólny dobry poziom gry aktorskiej. Aktorzy potrafili przezwyciężyć słabości sztuki („Spiewają skowronki”), ulomności inscenizacji („Romeo i Julia”), sztywności koncepcji reżyserskiej wynikającej ze wzorowania się na inscenizacji jednego z czołowych teatrów moskiewskich („Intratna posada”). Oczywiście, że te zmagania się aktorów z przeszkodami nie mogły pozostać bez wpływu na ich grę i musiały ograniczyć ich możliwości. Zanalizujmy bliżej te przeszkody. Sztuka Krawiwy „Spiewają skowronki” może służyć za przykład schematyzmu i bezkonfliktowości. A jednak aktorzy potrafili tak niewdzięczny materiał przekształcić w interesujące przedstawienie, pokazać życie białoruskiej wsi, pokazać ludzi radzieckich. Aktorzy, którzy czują się obywatelami swego kraju, znają go i znają problemy nurtujące życie, przerosli postacie Krawiwy i stworzyli żywe osoby. Udało się to przede wszystkim tym, którzy kreowali kołchoźników. Nie można wymagać cudów od aktorów, którym wypadło grać pracowników partyjnych zasiadających bez przerwy na zebraniach, choć wśród nich znajdowali się bardzo wybitni członkowie zespołu (np. P. S. Molczanow).

L. S. Drozdowa w roli Nastii Wierbieckiej pokazała głęboko ideową rozumną dziewczynę. Jednocześnie Nastia miała naprawdę 18 lat i związany z tym urok młodości, naiwności, egzaltacji, skłonności do marzyliwstwa. Prawdziwie i subtelnie pokazała Drozdowa miłość Nastii do Mikołaja. Prostego, miłego chłopca zagrał Kudriawcew. Jego Mikołaj nie miał w sobie nic z posagowości kandydata na Bohatera Pracy. Prostych, dobrych, sympatycznych ludzi pokazali Rzecka (Matka) i Platonow (przewodniczący kołchozu Tumilowicz). W nieobrobionej scenie na zebraniu w Odeskobie Partii wierzyliśmy Platonowowi, że naprawdę pragnie pomóc Pływaniemu. Dieduszo jako Pływaniemu wczuł się w psychikę chłopca, w którym pozostało jeszcze wiele cech indywidualnego posiadacza. Jego „kulak kołchozowy” był prawdziwy i przekonujący. Nie wierzyliśmy tylko w jego błyskawiczną przemianę. Pretensje o to kierować trzeba jednak do autora, nie do

aktora. Aktorzy potrafili stworzyć ciekawy obraz radzieckiej wsi białoruskiej mimo ciężkiej oprawy scenograficznej, mimo takiej samej pedanterii reżyserskiej.

Gdy ryknęły trąby i spieł na początek „Romeo i Julia”, gdy na scenie wyrósł makieta Werony z masy papierowej i aktorzy daremnie usiłowali przetrząsnąć wrzaskliwą orkiestrę, wydawało się że z subtelności niejspirowskiego dramatu miłości niejsie pozostanie. I tu znowu w sukurs pośpieszyli aktorzy. Przede wszystkim Julia i Romeo. Aleksiejewa wbrew operowej inscenizacji stworzyła postać bardzo subtelna. Z czternastoletniego dziecka przeistoczyła się w naszych oczach w dojrzałą, świadomą kobietę. Jej przemiany były głęboko przeżyte, ludzkie. Julia wzruszała, przysyłała uwagę. B. W. Włodzimierz — Romeo miał młodzieńczą zmienność nastrojów: był pełen żaru to znów romantycznej melancholii. Ta para młodych ocalała poezję Szekspira.

Operowy styl inscenizacji z głosem, ingerującą w tekst muzyką, z rozbudowanymi, barokowymi dekoracjami, z dużą ilością statystów niezorganizowanych w potężną zbiorowość, w działającą się — ale spełniającą funkcje rodzajowo-dekoracyjne, pseudo wspaniałość niezbędnie okraszona aktorami w trykotach w rolach pazziów — ten przepych, ten styl to wrogowie Szekspira-poety, przytłaczający jego słowo, które powinno być dominującym organizatorem życia scenicznego.

Inny niemniej groźny wróg Szekspira, to kurtyna. Nie jest przypadkiem, że Szekspir pisał dla teatru, w którym kurtyna nie istniała. Kurtynę wynaleziono znacznie później, w teatrze dworskim po to, by ukryć zmiany dekoracji. W teatrze elzbietańskim niczego nie ukrywano. Operowano sceną symultaniczną. Dla takiego teatru mógł Szekspir pisać dramaty, których akcja swobodnie przenosi się z miejsca na miejsce i nie ma znaczenia fakt, czy scena trwa dwie minuty, czy piętnaście.

Przyznać trzeba, że inscenizator Romeo i Julii wprowadził pewną formę symultaniczności. Akcja tragedii rozgrywała się w tej samej, w zasadzie, architekturze, różne adaptowane dla poszczególnych scen. Wprowadzając tę umowność, nie wyrzekł się jednak szczegółowej charakterystyki poszczególnych miejsc akcji, przez co każda adaptacja scenograficzna zajmowała znaczną ilość czasu i kurtyna wiele razy opadała i podnosiła się rwąc ciągle rytm dramatu.

„Intratna posada” świadomie, lub nie — jest jednak kopią znakomitego spektaklu Teatru Małego, który rok temu oglądaliśmy w Warszawie. I tu znowu sprawę własnego oblicza teatru ratowali aktorzy. Przede wszystkim Rzecka (Kukuszka) i W. I. Włodzimierz (Jusow). Pamiętamy kreacje Paszennej i Iljinskiego z Teatru Małego. Jeśli kopiujemy się inscenizację, niełatwo znaleźć własny wyraz aktorski. A Rzecka była zupełnie inną Kukuszką od Paszennej. I wydaje się, że lepiej utrafiła w koncepcję autora. Kukuszka Paszennej, to wdowa co najmniej po tajnym radcy, wprawdzie zbankrutowana, lecz dama z uzasadnionymi pretensjami. Natomiast Rzecka obnaża całkowicie małą, chamską, mieszczańską duszykę Kukuszki. Ta wdowa po jakimś tam małym urzędniku-kolchoźniku potrafi wprawdzie udawać przed Zadowem i Bielogubowem damę, lecz już wobec Jusowa pasczy się nie gorzej, niż robiłby to jej mąż, gdyby był podwładnym

Jusowa. Prostactki cynizm Kukuszki przeraża. Rzecka osiągnęła cel, jaki postawił sobie Ostrowski malując galerię strasznych mieszczań. Włodzimierz nie jest już tak oryginalny. W jego kreacji widać wiele wspólnego z ujęciem Iljinskiego. Szczególnie w pierwszym akcie. Natomiast scenę w restauracji Włodzimierz ujmując odmiennie od Iljinskiego. Wydaje się — głębiej. Iljinski ograniczył się do potwornej groteskowości, karykatury. Jusow Włodzimierskiego reprezentuje typ specyficznego filozofa. Wyznaje filozofię obłudy, lizusostwa, cynizmu. Jusow zdaje sobie sprawę z braku moralności i szczyty się tym. Podobnie jak Kukuszka — Jusow staje się groźny, staje się wrogiem, którego trzeba zwalczać. O to przecież chodziło Ostrowskiemu. Żadów Platonowa nie jest postacią Ostrowskiego. To zablakany w „Intratnej Posadzie” Czacki z „Mądrum białym”. Romantyzm Żadowa jest niewczesny, razi.

Aleksiejewa dała w „Intratnej posadzie” drugą wybitną po Julii kreację. Porównanie tej samej aktorki w dwu tak różnych rolach pozwala zorientować się w nieprzeciętnej skali jej talentu dramatycznego. Polina w drugim akcie, w domu matki Kukuszki jest matowa, niewyraźna. Umie powiedzieć o sobie tylko, że jest lepsza od swej siostry, ale i głupsza. Polina, zahukana przez matkę i siostrę, naprawdę wierzy w swą głupotę. Zresztą jej bezgraniczna naiwność graniczy z głupotą. Ustrzegła się jednak Aleksiejewa przekroczenia tej bardzo cienkookiej granicy. Być może, gdyby rozpatrywać Polinę tylko na podstawie drugiego aktu, można by wiele zarzucić ujęciu. Aleksiejewa rozgrywa jednak rolę konsekwentnie. Polina rozwija się w naszych oczach, bynajmniej nie w kierunku, który pragnie nadać jej Żadów. W duszy tej naiwnej, młodzieńczej kobiety toczą ze sobą dramatyczną walkę dobre i złe skłonności. Czwarty akt, gdy Polina ulegając podstępom siostry i matki znęca się nad mężem jest koncertem gry aktorskiej. Aleksiejewa pokazała opanowaną technikę, bogactwo środków, zdolność oddawania nastroju, barwy odtwarzanej roli. W osobie Aleksiejewy teatr im. Kupala posiada młodą, bardzo zdolną aktorkę, o której zapewne nieraz jeszcze usłyszymy.

Pisząc o tym teatrze, chce się przede wszystkim mówić o aktorach. To jest bowiem najmocniejsza strona białoruskiego teatru. Oczywiście, że w trzech oglądanych spektaklach widzieliśmy i słabszych wykonawców. Nigdy jednak poziom gry nie opadał poniżej poprawności. Nie widzieliśmy roli „położonej”. A wymieniliśmy tylko nazwiska Aleksiejewy, Włodzimierskiego i Włodzimierskiego, Rzeckiej, Platonowa i Dieduszkę krzywdzących takich aktorów jak bardzo dobra charakterystyczna W. N. Połto (Pawłina w „Spiewają skowronki”), Niania w „Romeo i Julii”, czy Z. F. Stomina (Bielogubow, w „Intratnej posadzie”, Benovio w „Romeo i Julii”) oraz innych, którzy niejednokrotnie w epizodach wykazywali dojrzałe rzemiosło aktorskie.

Poważnym natomiast minusem tego teatru jest brak własnego oblicza artystycznego. Widzieliśmy różnorakie ujęcia inscenizacyjne, lecz niestety, żadne nie było oryginalne, żadne nie nosiło własnego piętna. Ani folklorystyczne „Skowronki”, ani operowe „Romeo i Julia”, ani akademicka „Intratna posada”. Ten brak indywidualnego oblicza stwarza, że teatr staje się chwilami nużący. Sytuację ratują tylko aktorzy. Pisząc te słowa mimo woli wraca się myślą na własne podwórko. Przecież kardynalną wadą także naszych teatrów jest brak stylu, brak własnego oblicza poszczególnych scen. Czyżby istniały jakieś wspólne przyczyny? Chyba tak. Zwulgaryzowanie, zawężenie pojęcia realizmu socjalistycznego wprowadziło teatr w ślepią uliczkę, duszną, zabudowaną martwymi, malowanymi fasadami domów, zagraciło scenę mnóstwem szczegółów i szczegółów, odebrało powietrze, oddech. W sumie — teatr oddalił się od życia. Oto dowód, że nie realizm mu przyświecał, lecz jego karykatura.

Teatr stoi akterem. Te prawdę stara, jak teatr, trzeba jeszcze raz powtórzyć, bo wykazuje ona drogę wyjścia. Już tylko na przykładzie trzech omówionych spektakli widać, jak rzetelne talenty aktorskie przebijają się przez wały usypiane przez inscenizatorów i scenografów, jak rozsądza ciasne ramy, w które chce się wtłoczyć reżyseria. Należy wierzyć, że tacy aktorzy odrzucą graty, które przeszkadzają im grać, żądają powietrza, przestrzeni, żądają miejsca dla wielkich pasji i ogromnych metafor, dla teatru.

Dlatego ostateczna refleksja po widzeniu białoruskiego zespołu jest optymistyczna. Jeżeli w niekorzystnej atmosferze inscenizacyjnej mogły się rozwinąć talenty aktorskie, jeżeli nie brak ich wśród najmłodszych, jeśli kierunek ich rozwoju prowadzi w stronę obserwacji życia, oznacza to, że organizm teatru broni się, rozwija i żyje.

Krystyna Berwińska  
Stefan Atlas

## ULICA ZUZANNY

(Dokończenie ze str. 5)

le życie”. Zuzanna protestowała: „Mało. Nie po to studiowałam, żeby chować dyplom do rodzinnego mułkerka”. Niekiedy jednak myślała, że ma właściwie rację, prostą i głęboką. Zdarzało się to wtedy, kiedy była zmęczona. Dom był jak stęchła: pracowała z oddaniem, a załagości w robocie rosły, zapędzając ją w kłopoty, które odbierały jej pogodę z tych czasów, kiedy nie była żoną ani matką. A przecież bez Pawła i Małgorzaty nie wyobrażała sobie życia. Należała jednak do środowiska, które mało kiedy zmierzyło wartość swego życia ilością nowych miast, miasteczek i osiedli, a błąkała się na peryferiach wielkich planów, które opracowywali koleży. Zuzanna buntowała się, stawała się gorzka i popędliwa.

Ileż razy, idąc śląską ulicą, splątana w nieoczekiwane węzły, wśród domów, poczemalych od sadzy i dymu, stłoczonych na ciasnej przestrzeni, opartych o zabudowaną kopalnię lub hutę, porządkowała i przebudowywała w myślach całe miasto... Odsuwała wówczas doniś od oddechu wielkich pieców i kokosowni, opasywała hutę szeroką wstęgą zieleni, a stare haldy pokrywała młodym lasem. Widziała nowe gmachy oprawione w piękno i ciszę parków — gomy zdrowia dla robotników. Widziała też pogodną szkołę wśród zieleni, na których rozkwitały róże. Zasiadała w krzesłach teatru między ludźmi, którzy, jak ona, oglądali pierwszą sztukę na nowej scenie. Słuchała koncertu w wielkiej sali o jasnym sklepieniu, pod którym każdy ton muzyczny brzmiał pełnią barwy, zanim zgasł, gdy narodziły się nowe. Nikt jej nie znał, nikt nie wiedział, że jej praca dała miastu blask niezwykłego klejnotu. Tak było w marzeniu, wracała jednak do rzeczywistości zniechęcona.

W początkach lata wyjechała z grupą urbanistów na wycieczkę do Zagłębia. Tego dnia patrzyła z najwyższego w okolicy wzgórza na znajomą ziemię. Pod niebem gorącym i ciężkim leżał kraj jak omylająca miska, pełna kopalń i hut, osiedli i miast. Na horyzoncie gęstniała sińca nieruchoma i głęboka jak mętna woda. Topniały w niej kontury miasta, w którym zostawiła dzieciństwo i pierwsze lata młodości. Projektach jego przebudowy mówiła się jak o trudnym zadaniu urbanistycznym. Opracowywał je kolega, który stał obok Zuzanny. — Pani zna l'esprit de la ville tego miasta lepiej niż my wszyscy — zauważył. Zuzanna przyznała mu rację. Spostrzęgała jednak, że nigdy nie myślała o pracy nad swoim miastem. Zrozumiała, że to jedno właśnie wolałaby ominąć.

Zuzanna — jak Helena — nie lubiła wspomnień, a te, które stamtąd wyniosła, były trudne.

Kolega, który rozmawiał z nią na wycieczce o l'esprit de la ville, wyjechał nagle za granicę. Zuzannie przekazano jego pracę. Przyjęła ją bez radości. W domu rozplakała się ze zdenerwowania. „Nie rozumiem cię. To niedobre” — przyznał się Paweł. Zuzanna wysłała córeczkę z przyjaciółką na górę. Mała odjechała po raz pierwszy od matki. Była bardzo przejęta, tuliła się do niej i zagadła ją w oczy. „Płaczesz?” — pytała. „Nie płacz. Przyjadź zaraz wczoraj. Zobacysz”. Sepeliła jeszcze, ale nadbrała powagę. Zuzanna wróciła do pustego domu, napiła się od ojca, przygotowywała się do wyjazdu.

Było późne popołudnie, gdy wysiadła z pociągu na ciasnym, gwarnym peronie. Droga od dworca prowadziła koło bryk kolejowego przez czarny wiadukt, rozpięty nad towarową stacją. Zuzanna nie mogła wypłatać się z tłumy, poruszała się więc jak gałąź, którą niesie leniwa fala. Dzień był upalny i duszny, o tej porze jednak, kiedy słońce zaczęło już patrzeć z ukosa, przestrzeń, nawet miejska, zyskiwała przezroczystość i głębię, a domy wyrażały kształty i barwy. Ulice za wiaduktem rozbiegały się, podziurzyły się rozproszyły. Zuzanna szła w stronę śródmieścia w cieniu drewnianego parkanu, przez który przewieszały się nad jej głową gałęzie dzikiego bzu, potem koło domków, o otwartych oknach, gdzie pelargonie, fuksy i laki rosły kwitnąc ścianką ku górnej framudze, obwieszanej doniczkami z giętym Jassem i białym deszczem. Z ciemnych wnętrzy snuły się zapachy kuchni, na odsonionych górieniegdzie podwódkach bawiły się dzieci, a kobiety rozwieszały mokrą bieliznę. Za plotem, ujętym w obmurowanie z czerwonej cegły, stały szare bloki kopalniane, ciężkie, nudne siedziby urzędnicze. Topolowa aleja zasłaniała nad Zuzanną jak zielona rzeka. Płytkie sklepy hali targowej ukazywały prostokątne kietonów i bawelny na półkach, stopy pudeł z butami, żółte koła serów, chleby i bułki w wielkich koszach.

Skąpy, senny ruch ulicy, spokój sklepów, w których sprzedawcy nie pośpiechu obsługiwały kupujących, którym łaknie nigdzie się nie śpieszyło, podzielały na Zuzannę jak oglądanie taśmy filmowej, puszczanej w wolnym tempie. Niechęć, z którą przyjmowała zadanie, jakie ją po latach na nowo wiązało z tym miastem, odezwało się ostro.

W śródmieściu przestrzeń rozrosła się, oparła na twardym konturze

z jednej i na czerwonym masywie kościoła z drugiej strony. Nad hutą kipiały dymy i rozlewały się gruba chmura. Wielka kula słoneczna płynęła w niej jak pomarańcza w czarnej wodzie. Nad wielkimi piecami wybuchaly gniste wiechy, a dalej dyszały płomienie zielone, fioletowe i żółte — cała tęcza, która przed zmierzchem rozkwitała huta.

Miasto pełzło ciężko po długiej pochyłości terenu ulicami płytymi jak koryta, zbierając domów nudnych i brzydkich, zapęchanych podwórek i jałowych ogródków.

Na rogu ulicy Zuzanny megafon nad kolekturą loterii państwowej brzęczał jak rozbity garnek: „Jarzębino czerwona, biednemu sercu radz...” Otwarte okno ojcowskiego mieszkania, przystrojone zieloną kitą fasoli, spojrzało ku Zuzannie serdecznie.

— Nie przywiozłaś Małgorzaty? — zdziwił się Piotrowicz.

— Będę bardzo zajęta — tłumaczyła się Zuzanna. — Muszę się na nowo zapoznać z całym miastem.

Piotrowicz ze zrozumieniem skinął głową. Zanim usiedli do kolacji, Zuzannie wydało się, że niewiele mają sobie do powiedzenia. Małgorzata ratowała sytuację — o niej można było mówić bez obawy, że temat zmęczy lub znudzi albo zahaczy o sprawy niezrozumiałe dla starszaka. Zuzanna opowiadała, jak jej córka pierze i szyje lalkom, jak zapewnia matkę, że gdy urośnie, będzie jej pomagała w robocie: „Taką będę u ciebie gospośnią, żebyś miała więcej czasu dla swoich miast”. Wieczorem nie chce iść spać, zabiera do łóżka książki. Pyta: „Gdzie byłem, jak ty i tatuś byliście mali?” Nie może sobie wyobrazić świata bez siebie — dawniej czy potem. Paweł jest wierzący, chce ją uczyć pacierza, ale mała wypęda go: „Idź. Ja sama umiem porozmawiać z obrazem na dobranoc”. Podśledziła kiedyś, jak mówiła: „Taka masz brzydka kreska na buzi, Zdrowaś Mario. Pewnie cię ktoś podrapał. Ale jak ja go zlapie...” Ogromnie zabawna. Nosi teraz warkoczki jak dwa mysie ogonki podwiązane po obu stronach główki niebieskimi wstążkami.

Piotrowicz słuchał i śmiał się. Wydobyl z szafy butelkę wina, odkorkował: — Gronowe, słodkie, „Mistella”... Wypijemy zdrowie Małgorzaty!... — Zuzanna widziała, że ojciec się rozczulił. Pomyślała ze wstydem: jest bardzo samotny, a my go zaniedbujemy — to się musi zmienić. Czula jednak, że obiecuje sobie coś, czego nie będzie umiała dotrzymać.

W nocy i ona nie spała długo. Pod oknem słychać było ciszone szepty i śmiechy — dziewczęta i chłopcy flirtowali jak w czasach, które pamiętała w tym domu. Trzeszczały stare ściany, osypywał się tynk. Świerzczył cykał bez przerwy. Od czasu do czasu, izdebka napęniała się różowym światłem. Wtedy Zuzanna widziała, jak płochliwa czerwien podpała niebo, kółkose się, odpyła i gaśnie. Tak też było tutaj zawsze nocą, pełną blasków z niedalekiej huty.

Nie słyszała oddechu ojca. Myślała o tym, jak bardzo oddzieliło ją od niego życie — zostawiła starca wraz z wszystkim, o czym odeszła stąd zaraz po wojnie, gdy wracała do przerwanego na pięć lat studiów. Ojciec był wtedy różniejszy, jakby dużo młodszy. Teraz zauważyła, jak bardzo się pochylił. Fakt, że ciągle jeszcze pociągala go dlabanina w starych gratach, za które uważała znoszone mu przez ludzi zegary, uznała jednak za pocieszający. Postanowiła, że wszystko, co planowała na następny dzień — rozmowy w radzie narodowej, oglądanie miasta — ołatwi jak najszybciej, by oddać ojcu trochę czasu. Rano, gdy wyszła z domu, zapomniała o tym zupełnie.

3

Piotrowicz patrzył na córkę, gdy wychodziła z domu i wracała, notowała coś w grubym brulionie, zamyslała się i chmurzyła, jakby ją coś gniewało. Skończył już pracę nad zegarem i czekał, by jej przy okazji pokazać nową robotę.

Zuzanna była zgnębiona. Wszystko co zebrała w ciągu paru dni nie otwierało jej drogi do pracy nad projektem. Nie przeżyła ani jednej gorącej chwili, w której ujrzałaby własne miasto tak, jak widywała inne, kiedy nie miała jeszcze swojego wielkiego zadania. Cóż z tego, że znała duszę tego miasta, złożoną prawdę o tym, co urbanści określają zapożyczonym od Francuzów l'esprit de la ville? Tutaj, gdzie wnętrzności ziemi nieustannie drąży człowiek, odbierając im co najcenniejsze, zawsze było ubogo i brzydko, mroczno i duszno. Zuzanna wiedziała, co się należy ludziom z tego miasta. Ta wiedza nie wystarczała jednak, by rozbić odrażającą brzydotę domów i chaos ulic, zapamiętany z czasów, gdy tutaj mieszkala, a teraz stwierdzony w świeżej obserwacji. Poszła więc do wniosków, że przeżyła się z własnymi siłami. Tym bardziej, że na każdym kroku, który miał prowadzić w przyszłość, wybuchaly wspomnienia, odgrządały ją od skupienia, z jakiego mogłoby wynieść to co tu miało być nowe.

Zatelefonowała z poczty do Pawła: „Wracam. Uważam cały pobyt tutaj za zmarowany czas”. Paweł ucieszył się: „Świetnie. Nie mogę się przyszywać do obadów w stolówce”. Zuzanna roześmiała się i odłożyła słuchawkę.

Wyszła na miasto. Błądziła ulicami, wstąpiła do sklepu, kupiła owoców i butelkę białego Rislina. Ochłodził go w domu, wypijał przy obiedzie. Ojciec lubi dobre wino. Tym razem wódze Helena. Ciekawe, jak też wygiada, jak sobie układa starość...

Kiedyś, gdy Zuzanna była dzieckiem, garnała się do ciotki. Helena prowadziła ojcu gospodarstwo po śmierci matki. Do czasu, kiedy Zuzanna wróciła ze szkoły i opowiedziała, że o ciotce mówią, że zabiła człowieka. „Kogo?” — zapytał ojciec. — Człowieka? Nie podobnego. To nie był człowiek”. Zuzanna jednak rzuciła. Ojciec nie dopuścił do tego. „Giupota ludzka i pudłość — powiedział — Nie im sędzić o tym, czego sami nie przeżyli. A ty — zwrócił się do Zuzanny — poczekaj. Zrozumiesz nas kiedyś”. Podkreślił: nas. Zuzanna nie wracała do tej sprawy. Helena wyprowadziła się, odpowiedziała jednak brata, gdy Zuzanna nie było w domu. Jeśli zetknęły się przypadkiem, niewiele mówiły ze sobą. Zuzanne odgrządał od ciotki niepokój o rzecz niewyjaśnioną. Dziś myślała o tym dość obojętnie: stara historia, zlatwiona kiedyś w sposób, który uznano widocznie za dostateczny, skoro ludzie, wśród których żyli Piotrowicze, nie odwrócili się od Heleny. Postanowiła jednak, że przy jakiejś bytności, kiedy Heleny nie będzie, zapyta ojca — powiedział przecież: „Zrozumiesz nas kiedyś”. Dlaczego — n a s ?

Był upał. Niskie niebo obrastały na zachodnim brzegu obłoczki mgłne a drobne jak wysypka. Zuzanna weszła z ulgą w chłód sieni. Na szczycie schodów, pod drzwiami ojcowego mieszkania, siedziała Marynka. Wyglądała jak mały piesek zasłuchany z przechyloną na ramię głową. Warkoczyki miała podwiązane wstążkami jak Małgorzata. Ten od strony, w którą się przechyliła, odstawał teraz jak płaskie ucho młodego spaniola. Była tak zasłuchana, że nie zauważyła nadchodzącej.

— Cóż cię tam tak ciekawi? — zapytała Zuzanna.

Marynka błysnęła ku niej oczami jak guziczki. — Nowy zegar gra — sapnęła.

Przez drzwi przenikał do sieni głos niski, jasny. Jakby małe dzieciinne cymbalki wydzygotały krótki fragment muzyczny. Melodia jednak była poważna, surowa. Zuzanna podchwyliła w niej coś z dawną znajomości.

Piotrowicz siedział przy warsztacie strapijony. Pudło zegara leżało przed nim, otwarte. Poruszał się w nim obok mechanizmu drobne młoteczki, układały o metalowe sztabki, budowały melodię, która przyciągnęła Marynkę. Nagle zatrzymały się.

— Wszystkie już było dobrze — skarżył się Piotrowicz. — A dziś utyka mi tu coś, urywa. Ja tu jeszcze chwilę, wiesz... Tam obiad na kuchni. Zaraz zjem — rzucił nie patrząc na córkę.

Heleny nie było. Zuzanna nakryła do stołu.

— Juz mam — krzyknął Piotrowicz. — Znalazłem. Pięć minut, Zuzanno. Pewnie jesteś głodna.

— Ależ nie... Poczekam — uśmiechnęła się.

Młoteczki poruszyły się znowu. Zegar podjął melodię. Piotrowicz słuchał ze ściągniętymi brwiami: — Kurant w zegarze, który znajdowałem. Pamiętasz melodię?

— Coś niecoś. Ale słów nie znam.

— Stara pieśń, śpiewaliśmy ją w czasie włoskiego strajku. Tu, u nas. Dyrekcja szalała i wzywała policję. Strzelali do nas jak do psów. Ech, dziecko, były czasy... Dobrze, że przeszły...

— Ponura pieśń — westchnęła Zuzanna.

— Ponura — zgodził się Piotrowicz. — Ale i nocna, i gniewna, i godna... — Oczy mu błyszczały. Zanucił wątlm, drżącym głosem:

W ciemnym, podziemnym lochu, tam trupy będą z nas. Zamiast umierać po trochu, lepiej nam umrzeć raz...

Towarzysze, wytrwamy, siłą wziąć się nie damy, wolimy własną krwią okupić chwilę życia...

— Straszna pieśń — szepnęła Zuzanna. — Pieśń zrozpaczonych. — Nie — zaprzeczył ojciec. — Myśmy nie rozpaczałi. Myśmy walczyli. Ja, wiesz, krótko w tym byłem, ale Helena... Jej wtedy zabili chłopca...

— A Helena? — Zuzanna poczuła, że w tej chwili znajdują się blisko prawdy o ciotce. — A Helena? — powtórzyła.

Ale ojciec poruszył mechanizm zegara. Kurant odezwał się znowu. Starzec śpiewał cicho, kładł słowa na melodię:



Gdy nas głodówka zmorzy,  
Amieré nam pościele grób,  
Manifest nam położy  
u naszych martwych stóp...““)

Zuzanna postawiła na stole talerz  
rosolu: — Jedzmy.

Piotrowicz posłusznie przerwał,  
usiadł przy stole, sięgnął po łyżkę,  
jadł cicho. Zuzanna zrobiła się  
przykro: nie powiedziała ani słowa  
o pracy ojca, a spodziewać się chy-  
ba czegoś cieplejszego od niej. Przy-  
niosła szklanki, wyjęła Rislina z  
wiadra z zimną wodą, nalala. —  
Wypijmy — uśmiechnęła się. — Ta-  
ka jestem dumna. Mój ojciec pra-  
cuje mimo lat i znowu ma ciekawą  
robotę za sobą...

— Et — skrzywił się Piotrowicz —  
amatorska papraplina. Ty zostawisz  
sobie wielkie rzeczy. Wy wszy-  
scy. Tak...

Zuzanna pochyliła głowę. Jakże  
mogła mówić o tym, że stoi przed  
kleką? Powiedziała jednak: — My-  
ślę, że nie dośladam do tego, by  
zostawić po sobie coś naprawdę wa-  
rtościowego. Przyjechałam tutaj na  
poważną robotę. Ale jechałam bez  
zapalu, bo wolałabym inne miasto.  
Chodzę od paru dni, studiuję. Je-  
stem zupełnie pusta.

Piotrowicz odstawił szklankę:  
— Jesteś bardzo niecierpliwa. A to,  
na co czekasz, przyjdzie. Tak tu nie-  
raz myślałem: jest ulica Zuzanny,  
stary śmietnik... Całe miasto, na któ-  
re trudno patrzeć... A teraz wszyst-  
ko się zmieniło...

Zuzanna sprzątnęła ze stołu. Tro-  
chę jej szumiało w głowie, więc od-  
stała wino. W izbie pociemniało,  
choć pora była wczesna, dzień jesz-  
cze w pełni. Spojrzała w okno. Nie-  
bo pokrywała chmura, czarna jak  
skorupa błota. Topola nad domem  
huczała niespokojnie.

— Będzie burza — zauważyła. A  
tej chwili oderwał się zegar. — A  
jednak to jest pieśń rozpacz — po-  
wiedziała.

— Nie. To pieśń buntu — rozgnie-  
wał się Piotrowicz. — Ty tego nie  
rozumiesz. Trzeba, żebyś zrozumia-  
ła ludzi, co tu walczyli, żebyś mo-  
gła pracować dla nich.

Umilkli. Niebo pękało raz po raz,  
długie błyskawice kosiły się nad  
miastem jak ogniste skrzydła.

— Pytałaś o Helenę. Dobrze, po-  
wiem ci o niej, czego nie wiesz. Był  
tutaj wioski strajk, nie dopuszczali-  
śmy nikogo do kopalni. Lato, gorąco,  
głód. Kobiety pod bramami wyły  
jak wilczyce z żalu o mężów. A dy-  
rektor czekał, że się poddamy. Dy-  
rektor był młody jeszcze, pan z pa-  
now. Czekał, radził z policją, zwy-  
wał naszych na rozmowy, groził.  
Heleną miała chłopca. Bardzo go  
kochała. Dyrektor wyprawił sute  
śniadanie dla policji. Z wódką. Kie-  
dy się rozgrzali, puścił ich koman-  
dant na nas. Wtedy zginał chłopak  
Heleny. Nie sam, dużo naszych za-  
bili tego dnia przy bramie. Wy-  
wieklisny więc dyrektora z miesz-  
kania. Jego pani kłęzała przed na-  
mi, skowycała jak suka. A Hele-  
na wolała o zemść za naszych. Po-  
nieśliśmy dyrektora za kopalnię, nad  
stary ząb. Plakał i prosił o litość.  
Brzydliwy patrzeć na ludzką gnidę.  
Stał nad brzęciem szybu i wystar-  
czyłoby go pchnąć, a poleciałby jak  
kamień na samo dno. Aleśmy się  
zawahali, bo miał dzieci, troje czy  
czworo. Upał był tego dnia jak dziś,  
pociemniało przed burzą jak teraz.  
Ci, co stali dalej, od szybu, napierali,  
krzyczeli. A dyrektor widać pomy-  
ślał, żeśmy się zlekli, bo zaczął gro-  
zić. Wolał, że pognijemy w lochu  
za niego. Helena stała daleko ode  
mnie, ale poznałem jej głos — to  
ona zaczęła śpiewać. Nie z rozpacz  
przychodzą takie pieśni. Z gniewu,  
z siły wybuchają jak ogień. Wszy-  
scyśmy śpiewali. A potem była ci-  
sza. Dyrektor krzyknął: „Bydło!“ —  
jakby nam w twarz pluł. Wtedy  
Heleną sprzedała się przez tłum,  
przyskoczyła do niego. Tak... to ona  
go... tam... Miała prawo.

Zuzanna była wstrząśnięta. Zapy-  
tała cicho: — Ukarał ją potem?

— No, a jak? Siedziała w wiezie-  
niu. Na Świętym Krzyżu. Dużo na-  
szych zamknęli tam wtedy, a iu  
straciło chleb i nigdzie ich nie przy-  
jęli do roboty...

Nad miastem zagrzmiał pierwszy  
ryk burzy. Wicher niósł kłęby ku-  
rzu i liści. Zazumiała ulewa. Zu-  
zanna wstała od stołu i zamknęła  
okno. Usiadła w głębi izby na ota-  
manie, pożytych na czas jej odwie-  
dzin. Stary dom trząsł się od pio-  
runów.

Piotrowicz oparł głowę na rękach,  
milczał i patrzył w ociekające woda  
szyby. Myślał: burza przemienie,  
córka odjedzie, zostanie sam.

Zuzanna przymknęła oczy: miasto  
na długiej pochylności wzgorza uli-  
ce jak płytkie, kręte koryta rzek,  
chaos ubogich domów, niskie niebo  
obrosnięte dymem kopalni i hut.  
Stara pieśń, dusza miasta, przywo-  
łana wspomnieniem ojca.

Ulica Zuzanny... Bedzie. Wtopiona  
w całość miasta jak czysty, pełno-  
brzmiały akord w dojrzałą kompo-  
zycję muzyczną. Tego miasta Zu-  
zanna jeszcze nie widzi. Ale je zo-  
baczyć: ład nowych ulic, domy, zie-  
leń, wysokie, jasne niebo.

Maria Klimas-Błahutowa

\*) Ze zbiorów prof. Adolfa Dygacza —  
pieśni zagłębione z okresu strajków  
górników; czas powstania pieśni na-  
u ustalony: odnaleziona w Kąkolewku ko-  
ło Strzelcym, znana w Sosnowcu, w  
Kawęczynie itd.

JULIAN PRZYBOS

## Spór, ale nie o Czechowicza

Nie spodziewałem się, że moje  
uwagi o wydanym przez Ja-  
na Spiewaka i Seweryna Po-  
llaka „Wyborze wierszy“ Józefa  
Czechowicza pobudzą dyskusję o  
poezji autora „Nuty człowieczej“.  
Napisałem o tej poezji to co wyda-  
wało mi się bezsporne, zważywszy  
oszczędnie słowa.

A oto Jan Spiewak ruszył na mnie  
ogromnym artykułem do gwałtowne-  
go ataku (numer 40 „Nowej Kul-  
tury“) zarzucając mi, że nie dałem  
obrazu, lecz karykaturę, że pom-  
niejszałem Czechowicza. Zdumia-  
łem się, bo byłem pewny, że ktokol-  
wiek przeczyta mój artykuł, zroz-  
umie, iż cenię tę poezję wysoko.  
Powiedziałem przecież o Czechowi-  
czu to co rzekłbym nie o każdym  
z tych poetów „dwudziestolecia“,  
których historycy literatury uznali  
za godnych, aby weszli do podręcz-  
ników szkolnych. Powiedziałem  
mianowicie, że Czechowicz pozos-  
tawił u siebie kilka arcydzieł  
literarycznych. Poetę mierzy się, jak  
wiadomo, jego szczycami a nie ni-  
zinami artystycznymi. W puściźnie  
Czechowicza znajdują się, tak jak  
w dorobku każdego poety, wiersze  
nieudane (tylko poeci genialni są  
nieomylni), nie one przecież stano-  
wią o randze poetyckiej lubelskie-  
go poety, ale właśnie aż kilka  
tych najlepszych wierszy, które po-  
zostają w dziejach poezji polskiej.

Gwałtowna szarża Spiewaka u-  
derza więc na urojonego nieprzyja-  
ciela, bije w próżnię. Ale tłumaczę  
sobie na dobre ton jego polemiki.  
Bije z jego artykułu gorąca, na-  
miętna miłość do liryki Czechowi-  
cza. Spiewak zna większość jego  
wierszy na pamięć, kocha, więcej,  
uwiłbia chyba prawie wszystko co  
stworzył Czechowicz. Ta żarliwa  
miłość, jak każda prawdziwa mi-  
łość, musi budzić sympatię i uspo-  
sobić pobłażliwie. Kochającym  
wiele się wybacza, dlatego nie mam  
żalu do Spiewaka, że kochając nie-  
porównanie mocniej niż ja, napadł  
na mnie: osądził fałszywie, że do-  
tknąłem jego ideał poetycki. To co  
pisze o dwuletniej żmudnej pracy  
nad gromadzeniem puściżny poety-  
ckiej po Czechowicza i o dalszych  
planach wydawniczych dotyczących  
się nie tylko pism i listów Czech-  
owicza, ale wydawania i innych poe-  
tów — przemawia mi do serdeczne-  
go przekonywania.

Przypuściłem był, że gdy Pollak  
i Spiewak chcieli wydać Czech-  
owicza, mieli do pokonania opór re-  
cenzentów „etapowych“. Działo się  
to przecież przed dwoma laty, a  
więc w czasie, kiedy panował sche-  
matyzm, „laktierictwo“ i, jak się  
tam nazywa, tych oczepstych te-  
raz kilkanaście grzechów głównych  
przeciwko duchowi literatury. Spie-  
wak to teraz potwierdza i, o dziwo,  
bierze do siebie wzmiankę o kryty-  
kach „sezonowych“ i „etapowych“.  
Motocykl z przyczepką temu, kto by  
potrafił wywieść z tekstu mego ar-  
tykułu, że to niepocholebne miano  
przyppisałem redaktorom „Wyboru“  
Czechowicza. Zastępcina, bo ura-  
żona miłość Spiewaka do „Nuty czło-  
wieczej“ nie widzi, że tą nazwą w-  
derzam w naszych wspólnych prze-  
ciwników, a uchowaj boże Apolli-  
nie, nie w niego.

Kto to więc ci „sezonowi“ i „eta-  
powi“ krytycy? To ci chętni łepi-  
ciele wszystkiego co się wychylało  
poza ciasną klatkę wyobrażeń  
przez urzędników literatury. Recen-  
zyści bez przekonań, kaprale za  
których pośrednictwem komendero-  
wano w owym minionym czasie po-  
tępionego teraz „komenderowania“.  
Doświadczylem ich, jak wielu z  
nas, na własnej skórze, gdy jeden  
z nich wycełował u mnie przed  
naszym Zjazdem artykuł-straszak,  
a wcześniej inny z nich „rozrabiał“  
w dyskusji o „Rzucie pionowym“,  
inni zaś używali z matpim bezwsty-  
dem i bezczelnością, żebym się za  
swoją poezję pokajał! Czyżby i  
Spiewak, poeta o rozmachu słowa i  
fantazji, który nie mógł się im po-  
dobać, nie miał na pieńku z tymi  
„etapowcami“ w krytyce, którzy  
teraz schowali się w mysią dziurę,  
bo „etap“ minął?

„Etapów“ przynajmniej, że musiał  
„walczyć“ o bibliotekę poetów.  
Przypuściłem więc szczerze, że mógł  
mieć trudności ze strony „etapo-  
wych“ w wydaniu Czechowicza.  
Wstęp nie mówi o nowatorstwie  
Czechowicza, przeciwnie, zapewnia,  
że Czechowicz daży do poezji kon-  
formistycznej. Przypuściłem więc,  
że Spiewak i Pollak chcieli w ten  
sposób „usprawiedliwić“ wydanie  
poety, zmylić czynność „etapowych“.  
Czy szczerze tak sądziłem? Spiewak  
sam przynajmniej, że w wstępie nie  
wyudałnił nowatorstwa Czechowi-  
cza i że ten błąd usiłował potem  
naprawić w artykule umieszczo-  
nym w „Twórczości“. Miałem więc  
podstawy do swoich przypuszczeń.

Zarzuca mi Spiewak, że nie do-  
strzegłem w wierszach Czechowicza  
innej nuty prócz elegijnej. Cytały  
z mojego artykułu jakie przytoczył,  
mówią co innego: „Jest Czechowicz  
poetą bezbrojnego inteligentkiego  
marzycielstwa, przerywanego łę-  
kiem przed redukcją, nędzą i woj-  
ną“. Dostrzegłem więc wiersze ta-  
kie jak „Przed dworcem głównym“,

mówiące właśnie o tym lęku, ale  
nie uważam ich za najlepsze i dla-  
tego się nad nimi nie zatrzymywa-  
łem. Z wierszy tych, usiłujących  
dać wyraz czasem bezrobocia i  
przedwojennemu niepokoju, trudno  
wyczytać jakąś jednoznaczną myśl  
— i zaznaczyłem to w swoim arty-  
kule. To samo twierdzi w swojej  
subtelnej krytyce Zbigniew Her-  
bert („Uwagi o poezji Czechowi-  
cza“, „Twórczość“, numer 9). Dla-  
tego to szczególną wagą obdarzy-  
łem wiersze sielankowe, elegijne,  
wśród których właśnie wyróżnia-  
m aż kilka arcydziełnych. Nazwałem  
Czechowicza poetą „cichym i skrom-  
nym“, i nikt, kto nie zaślepiony,  
nie dopatrzy się w tym obraży.  
Cichość i skromność uważam za za-  
letę. Również fakt, że Czechowicz  
oficjalna krytyka nie uznawała,  
przytoczyłem jako dobre świadectwo  
za jego poezję.

Czy Czechowicz uważał się za  
„awangardzistę“ czy nie, i czy dzia-  
łał jako organizator grupy awan-  
gardowej w Warszawie? Przyto-  
czyłem jako dowód przemawiający  
za tym trzy fakty: organizację wie-  
czorów pt. „Najazd Awangardy“, wy-  
dawnictwo „Arkuszy poetyckich“,  
redagowanie pisma „Pióro“ oraz  
antologię Frydęgo. Spiewak pomia-  
ja wszystko inne i atakuje namię-  
tnie ową antologię. Nieprawda, że  
ją ocenilem pozytywnie, w ogóle jej  
nie oceniałem. Przypominałem tyl-  
ko jej istnienie jako argument za  
tym, że grupa Czechowicza - Fry-  
dęgo istniała. Frydę był przyjacie-  
lem Czechowicza, głównym teore-  
tykiem grupy skupionej wokół „Pió-  
ra“, przypuszczam więc, że Czech-  
owicz wpłynął na układ antologii.  
Może się jednak mylę. Nie było  
mnie wtedy w kraju, nie znam ku-  
lisów tego wydawnictwa.

Tyle na temat naszego sporu o  
Czechowicza, sporu polegającego  
na nieporozumieniu, które, sądzę,  
dostatecznie wyjaśniłem.

Ale Spiewak dotknął w swojej  
wielkiej miłości nie tylko broni żar-  
liwie Czechowicza, rzekomo przeze  
mnie skrzywdzonego, ale bez na-  
mysłu rzucił się do ataku — na co?  
Na to co pod wpływem urażonej  
miłości, a więc gniewu, wyobraził  
sobie o intencjach, jakie mną kie-  
rowały. Pomijam wszystko co do-  
tyczy mnie osobiście, wyjaśnię tyl-  
ko najkrócej dwie sprawy natury  
ogólnej. Co sądzę o roli tradycji?  
Jak oceniam przedwojenną „Awan-  
gardę poetycką“?

Nie zwykłem powtarzać komun-  
izm, że kultura jest dziełem nie-  
zliczonych pokoleń ludzkich prze-  
kazywanym w ciągu wieków. Że  
nie można w jakiegokolwiek dział-  
ności zaczynać od zera, że więc nie  
ma bezwzględne nowatorstwa. Że  
trzeba nawiązywać do tradycji po-  
stepowej. Że nowatorstwo w sztuce  
jest niekiedy odkryciem i rozwinie-  
ciem zapomnianej tradycji, że no-  
wa treść rodzi nową formę itd.

Z oczywistych tych prawd zrobie-  
no jednak w okresie „komendero-  
wania“ maczugę przeciw nowator-  
stwu w sztuce. Doszło do absurdu,  
że w krajach o najbardziej postę-  
powej ideologii forsowano sztukę  
według gustu nani Dulskiej. W po-  
zycji te reakcyjne tendencje wiodły  
do owego „laktierictwa“, czyli tram-  
tadacji przypominającej do złudze-  
nia przedwojenną karłkową wiers-  
zowanie trzecionajową. Wszystko  
to robiono w imię „nawiązywania  
do tradycji“, zastępując szczerą  
ideę eksponowania w historii li-  
teratury utworów postępowych —  
nakazem trzymania się w twórczo-  
ści ustalonych dawniej kanonów e-  
stetycznych. Zapanował tradycjon-  
izm. Byłem tym, który pierwszy  
przeciw temu zdecydowanie wystą-  
pił, wystawiając się na ataki „eta-  
powców“. Dzisiaj mało kto wątpi,  
że „komenderowanie“ wiodło nie tyl-  
ko w literaturze, ale i w sztukach  
plastycznych do wstecnictwa.

Co sądzę o tzw. Awangardzie po-  
etyckiej sprzed trzydziestu lat? Są-  
dzę, że należy do przeszłości.

Czym była? Spiewak powtarza —  
za „etapowymi“ niestety! — że „już  
w chwili powstania była późnionim  
echem francuskiej poezji“. Skąd  
Spiewak ma tę pewność, na czym  
opiera to twierdzenie? Czy za do-  
statecznie ruchy awangardowe na  
Zachodzie? Należy pytanie, czy  
i jakie idee wniósł polska a-  
wangarda w poezji i w plastyce, zo-  
stać badaczom z IBL i PIS. Odpo-  
wiedzą może na nie w którymś z  
kolei Planie pięcioletnim. Moja, za-  
pewne niedostateczna, znajomość a-  
wangardy zachodnio-europejskiej i  
moje kontakty z artystami na Zach-  
odzie utwierdziły mnie w przekon-  
niu, że tzw. krakowska awangar-  
da poetycka i będąca z nią w po-  
rozumieniu awangarda plastyczna  
(grupa „Błoki“ a potem „a. r.“)  
wniosły niektóre idee artystyczne  
nieznane na Zachodzie i dały prócz  
rzeczy wtórnych także dzieła orga-  
ninalne i pierwsze. Awangarda pol-  
ska nie była oczywiście Ateną, któ-  
ra wykszyczyła z głowy tylko sar-  
mackiego Zeusa. Ale bezmyślne jest  
twierdzenie, że była czymś echem.  
Miała własny głos.

Julian Przybós

## Noce i dnie trzeciej jesieni

(Dokończenie ze str. 1)

ską. Z tych paru mazowieckich chał-  
wylania się przejmujący obraz  
współczesnej wsi polskiej, który dla  
ludzi znających książkę Dąbrowskiej  
bezułannie zatraca paralela. Po po-  
nurym kolorycie „Ludzi stamtąd“,  
po pesymistycznej bezwysiałości  
„Rozdroża“ wizja dzisiejsza nasy-  
cona jest rzetelnym optymizmem.  
Przy wszystkich złudzeniach daw-  
niejszego programu społecznego, pi-  
sarka zbyt dobrze znała naszą wieś,  
aby nie zdawać sobie sprawy, że re-  
forma rolna, o którą się bezskutecz-  
nie dopominała, nie uratuje wsi, że  
wies nawet zreformowana, pozos-  
tała nadal bez wyjścia, jeżeli nie zo-  
staną zreformowane również inne  
dziedziny życia. Dopiero na tym tle  
można pojąć szczególną żarliwość,  
z jaką w „Weselu“ Dąbrowska wy-  
licza korzyści, które wsi dała refor-  
ma, z jaką rzeczowistości dokonuje  
tych przerażających gruntu, które  
stały się możliwe w wyniku reformy,  
które „Jasnotom pozwoliły na wy-  
prawienie hucznego weseliska“.  
Dopiero wtedy można zrozumieć sa-  
tylsfakcję, z jaką wita na weselu  
gości z miasta, którzy niedawno tę  
wies opuścili udając się do przemy-  
słu, na Ziemie Odzyskane, którzy  
oswobodzili ją ze zmory przeludnie-  
nia i rozdrobnienia. Dąbrowska nad-  
wyczaj skrupulatnie te dobroczyn-  
ne zmiany notuje w losach ponad  
trzydziestu osób, które się przewina  
przez izbę weselną na osiemdziesię-  
ciu stronach utworu. Dąbrowska w  
tej skrzętności gospodarskiej posu-  
wa się aż do zmieszności. Dopytuje  
się o weterynarza wiejskiego, czy  
zajął do chorych świń. Zagląda do  
szafy chłopskiej, liczy w niej nowe  
przyodziewki. Nie lekceważmy tej  
skrzętności — w „Weselu“ wszyst-  
ko się liczy zasadniczo. Niczego tu  
nie przyjmuje się na wiarę, wszyst-  
ko jest zobaczone i pomacane. Przy-  
woździ to na pamięć Żeromskiego,  
kiedy w odczytce o literaturze wa-  
żył weale nie imponujące ilości ma-  
ki oddane na izecz funduszu spo-  
łecznego w latach powojennego gło-  
du i widział w tym (jakże zawo-  
dnie) budzenie się narodowego ducha.  
Podobnie z wyliczeń Dąbrowskiej  
z olówkiem w ręku wynika, tym  
razem o ile bardziej uzasadniony,  
optymizm „Wesela“. Są to niejako  
„rachunki narodowe“. Z bezwysia-  
łości położenia wies wyjście zna-  
lazła — o tym świadczy bezsporne  
losy gości przybywających na wese-  
le Zuzi Jasnotkami. Gdyby się na  
tym „Weselu“ zamknęło, nie wnika-  
łoby jeszcze tak głęboko w dialek-  
tykę spraw teraźniejszych, jak to  
czyny.

Na drugą szalę — i tu się zaczyna  
rozrachunek cykl drugi — kładzie  
pisarka powikłania, zwątpienia i  
niepokoje, jakie zaglądają nie tyl-  
ko pod strzechy pawłowskich chał-  
w. W miarę weselnych uroczystości lu-  
dzie się rozgadują, rozśpiewują,  
podochochają i wylazi na wierzch, co  
ich śmieszy, co niepokoi, co gnębi.  
W opowiadaniu o wielkiej przemia-  
nie wdzierają się toni ironiczne,  
drażliwe, bolesne.

Groteskowe przedstawione są sce-  
ny obyczajowe z młodzieżą, która  
się otarła cokolwiek w mieście o  
wiedzę i teraz ku zaimponowaniu  
starym plecie androny, jak Władek  
Jasnota, w którego głowie popląta-  
li się ze szczerem klasycy. Nabyła  
młodzież zewnętrznego sztychu miej-  
skiego i ma w pogardzie dostojną

kulturę wsi. Autorka mająca dużą  
wiedzę etnograficzną (od młodości  
zbierała np. pieśni z rodzinnych  
stron, czego świadectwo mamy w  
opowiadaniu), te konflikty obczy-  
ajowe, szczególnie naloży drobnie-  
szaszczyński kultury silnie akcentuje  
w „Weselu“.

Z księdzem Dąbrowskiem wcho-  
dzi sprawa nicości. Przejmujący  
jest ten dramat uczowego księdza,  
który szczerze, choć naiwnie pra-  
gnie służyć postępowi, a wpadnie w  
potrzask. Reakcyjna hierarchia ko-  
ścielna nie bez racji podejrzewa, że  
proboszcz „komunizuje“, a urząd  
bezpieczeństwa małodusznie weszły  
w tym polityczną przewrotność, za-  
strasza go i pogłębia na amen.

Tragicznego wyrazu nabiera in-  
cydent z pobiciem kobiety przez mę-  
ża. Odzywa się głos, odmawiający  
prawo, aby w Polsce dzisiejszej,  
ludzkiej uciekano się w jakiegokol-  
wiek dziedzinie do nieludzkich  
środków postępowania.

Wymieniłem tylko niektóre spra-  
wy spośród ważnych i najważniej-  
szych. „Na wsi wesele“ może być  
przykładem jakże potrzebnego, twór-  
czego krytycyzmu naszej literatury,  
korzystania przez pisarza ze święte-  
go prawa do sądzenia rzeczywistości,  
prawa do piętnowania wad i słabo-  
ści społeczeństwa, wypaczeń i zwy-  
rodnień życia. I to daje dopiero peł-  
ną miarę zaangażowania pisarki we  
współczesność. Te bolesne rozra-  
chunki nie wiodą bynajmniej na  
żadne nowe rozdroże, bynajmniej  
nie są zasadniczym pytaniem o da-  
lszą drogę Polski (jak określano  
sens „Przedwiośnia“). To jest walka  
na dobrej drodze Polski.

### VI

Dotąd pozostawialiśmy świadomie  
na marginesie jeszcze jeden rozra-  
chunek, jaki odczytać można z  
ostatnich utworów Marii Dąbrow-  
skiej, rozrachunek pisarki z samą  
sobą.

Wskutek tego „Na wsi wesele“  
jest jednym z najzawilszych utwo-  
rów naszej doby. Od pierwszych  
słów wkraczamy w jego zawilść.  
Zestawmy tytuł i motto. Tytuł z  
umyślną przestawnią, gdyż ten szyk,  
jak stwierdza autorka, ma poza  
„znaczeniem muzycznym, związa-  
nym z taką właśnie kadencją“ rów-  
nież „znaczenie merytoryczne (na  
wsi także wesele)“. I motto z wiej-  
skiego przysięgu do tańca, który  
jest kwintesencją wieków chłopskiej  
niedoli.

Oj, jedz, pił, kiedy dają  
A tańcu, kiedy grają  
A uważaj, kiedy dzwonią  
A uciekaj, kiedy gonią.

Czytelników książek Dąbrowskiej  
uderzają podobieństwa ich bohate-  
rów. Bogumił Niechcic ma wiele ry-  
sów obecnych bohaterów — Kle-  
mensa Łohojkiego i Michała Bo-  
guskiego. Małgorzata, Wanda Osiec-  
ka — to „maniaczki skrupułów“ — po-  
dobnie jak Barbara. Nawet ksiądz  
Dąbrowski posiada swoich antena-  
tów. Są to ulubione typy ludzkie,  
które pisarka nieodmiennie obdarza  
niestrudzoną sympatią. Ale rzecz nie  
sprowadza się do powierzchownych  
podobieństw charakterowych.

Bogumił i Barbara — to ostatni  
w naszej literaturze bohaterowie z

## KORSPONDENCIA • KORESPONDENCIA

### Lichański contra Ficowski i odwrotnie

Uprzejmie proszę o znalezienie miejsca  
na łamach „Nowej Kultury“ dla poni-  
ższych uwag, dotyczących zjawiska re-  
niebezpieczeństwa wojny atomowej.  
Ostatnia strofa tego utworu brzmi:  
— Czujam wspólność. Nie jestem sam.  
Walcze. Wrokiem sen płosze z powiek.  
Jestem wszędzie — i tu, i tam:  
człowiek.

Człowiek! Wielkie słowo! Czy nie za  
wielkie, nie za ogólnikowe? W chwili  
obecnej nie liczymy na mitycznego  
„człowieka“, na abstrakcyjną „ludz-  
kość“, naszą nadzieja azuka oparcia w  
pewnym konkretnym zespole ludzi, zwią-  
zanych wspólną światopoglądową.  
Tych spraw nie należy przemleć, na-  
leży nazywać je po imieniu.

Czytam i oczom nie wleczę, przeczera-  
m je — nie nie pomaga. Tak, nie mogę tego  
prezmięć, nazwę więc po imieniu:  
niezłomność czasu, w którym żyjemy,  
najistotniejszych problemów świata,  
istoty i drogi naszej walki o pokój.

Jakże to grupka ludzi „związanych  
wspólną światopoglądową“ bierze w  
niej udział, na jaki to zespół liczymy?  
Na miliard z górą mieszkańców ziemi,  
których wspólnota jest chęć życia, nie-  
właściwie wobec zagłady i jej sprawców,  
pragnienie pokoju, któremu coraz po-  
wszechniej dają wyraz.

Nie można pisać o problemach poezji,  
nie znając naczelnego problemu naszego  
czasu, kolego Lichański, będąc pełnym  
niewiary w możliwości człowieka, nie  
„mitycznego“, ale właśnie po prostu —  
człowieka.

Zaraz, zaraz... „Człowiek — to brzmi  
dumnie“. Kto to powiedział?

Jerzy Ficowski  
Warszawa

### Błędy w „Mickiewiczu“

Do broszury mojej „Szkic o Adamie  
Mickiewiczowskim“, wydanej z okazji Roku  
Mickiewiczowskiego, zakradły się błędy,  
nie sprostowane w erratach.

Na str. 75: „Jest to poeta w najszers-  
szym i najsłabszym tego słowa  
znaczeniu“, nie zaś, jak wydukuwano:  
„Jest to poeta o najszerzym“ itd.

Mieczysław Jastrun

pozytywistycznymi ideałami. Ich ra-  
cją istnienia była praca u podstaw,  
znoiny trud; marzenia o państwo-  
wości, o ogólnym ładzie społecznym  
były dla nich odświętnym luksemem.  
Szerszy horyzont groził zwątpieniem  
w sens mego życia.

W owej epoce zrodziły się spół-  
dzielczo-syndykalistyczne idee Abra-  
mowskiego — nowa forma konspi-  
racji ogólno-narodowej. Teoretyczna  
negacja państwa (zwracająca się  
podówczas przeciw caratowi przede  
wszystkim) pokrywała marzenie o  
państwie. W tym kręgu ukształto-  
wały się poglądy młodej Marii Dą-  
browskiej, która rychło stanie się  
działaczką spółdzielczą.

Młodzieńcze ideały okazały wyjąt-  
kową trwałość. Postępujące rozra-  
chowania wobec burżuazyjnego pań-  
stwa polskiego między wojnami  
sprzyjały przełomowi takiej filozofii  
społecznej. Pod piórem publicystki  
przybrała ona teraz formę „orga-  
nizatorskiego“, obiektywnie bur-  
zuazyjnego, reformizmu. Pod pió-  
rem epika swoistą postać aprobaty  
życia mimo wszystko, pochwały idea-  
łów humanitarnych strzeżonych  
przez poszczególne jednostki jako  
jedynę wiecznotrwałę wartości.

Po dziś dzień w pisarstwie Dą-  
browskiej stosunki społeczne mierzy  
się bezpośrednią pomocą w życiu  
prostego człowieka, co jest bliskie  
socialistycznej perspektywie oceny,  
ale równocześnie zasadniczo ścię-  
nia ją i zabuza. Obserwowaliśmy  
dramatyczny proces weryfikowania  
przez pisarkę korzyści płynących dla  
człowieka z przemian rewolucyj-  
nych. Jest ich zwolenniczką w tym  
wszystkim, czym służą rzetelnie,  
bezpośrednio i doraźnie dobru czło-  
wieka.

Ulubiona maksyma życiowa rów-  
nież obecnych bohaterów Dąbrow-  
skiej — to „w każdej rzeczy szu-  
kać czegoś dobrego“. Jest ona wła-  
snością wszystkich głównych osób  
„Wesela“ — i Małgorzaty, i księdza,  
i Michała Boguskiego. Jest to z  
dawną spótykaną u Dąbrowskiej teo-  
ria „dobrych stron“ dziedzającego się  
życia, z tą różnicą, że tych „do-  
brych stron“ jest w socjalizmie wię-  
cej, że są one, być może, nawet do-  
ciągające. Mimo to bohaterów wy-  
posaża pisarka w postawę „polo-  
wicznej aprobaty“. Przebiega w tym  
charakterystyczna rezerwa wobec  
systematów społecznych, wobec roli  
państwowości. Jedynych ludzi „z  
dogmatem“ — małżonka Szatkow-  
skiego—doświadczy Dąbrowska zwąt-  
pieniem. Z tej też przyczyny sce-  
ptycznym niepokojem pulsują końco-  
we rozważania Boguskiego.

„Spółdzielnie... Podług mojego ro-  
zumu życie to jest na przykład jak-  
ko droga. Coś uszło, to już twoje,  
to już tego nie stracisz. Oto się już  
nie masz co bać. Ale co przed tobą,  
to możesz stracić, o to się musisz  
bać. Pobłaskasz się, nie dojdiesz,  
przegapisz. A gdzie tą drogą życia  
idziesz? W przyszłość idziesz. To  
trzeba na tę drogę do przyszłych  
czasów uważać, żeby się z lęku nie  
pobłąkać; żeby przyszłości nie stra-  
cić, nie przegapić...“

Przyszłość spowita jest lękiem,  
obwarowana przestrogi. Podob-  
nym lękiem i podobnymi przestro-  
gami, jakie odzywają się w gorz-  
kiej odwiecznej mądrości starego  
„przysięgu do tańca“: „A uważaj,  
kiedy dzwonią; A uciekają, kiedy  
gonią“.

W filozofii społecznej Marii Dą-  
browskiej pokutuje zamienna re-  
dukcja spraw społecznych do sfery  
potrzeb komunalnych, samorząd-  
owych. Dlatego w „powrocie do oj-  
czyzny“ Klemensa Łohojkiego pi-  
sarka



Przyszedł do mnie interesant. Po-  
dał się za inżyniera z N i powie-  
dzał mi następującą historię:

— Kupiłem sobie idiotę... Ot, tak.  
Dla kaprysu. Postawiłem idiotę w  
przedpokoju. Przychodzą goście.  
Podziwiają.

— Ach, jaki piękny idiota — wo-  
ła doktorowa — gdzie pan dostał  
takiego idiotę?

— Idiotów nie sięją — odpowia-  
dam skromnie, choć w gruncie rze-  
czy ogarnia mnie duma. Nie każdy  
ma szczęście do idiotów.

Inspektor Żarek lubi uciąć sobie  
krótką pogawędkę z moim idiotą.  
Pyta:

— No i jak? Nieźle, co?

A idiota zamyka oczy i zaczyna  
recytować swój życiorys:

— Urodziłem się nienagannie,  
chcę służyć ofiarnie...

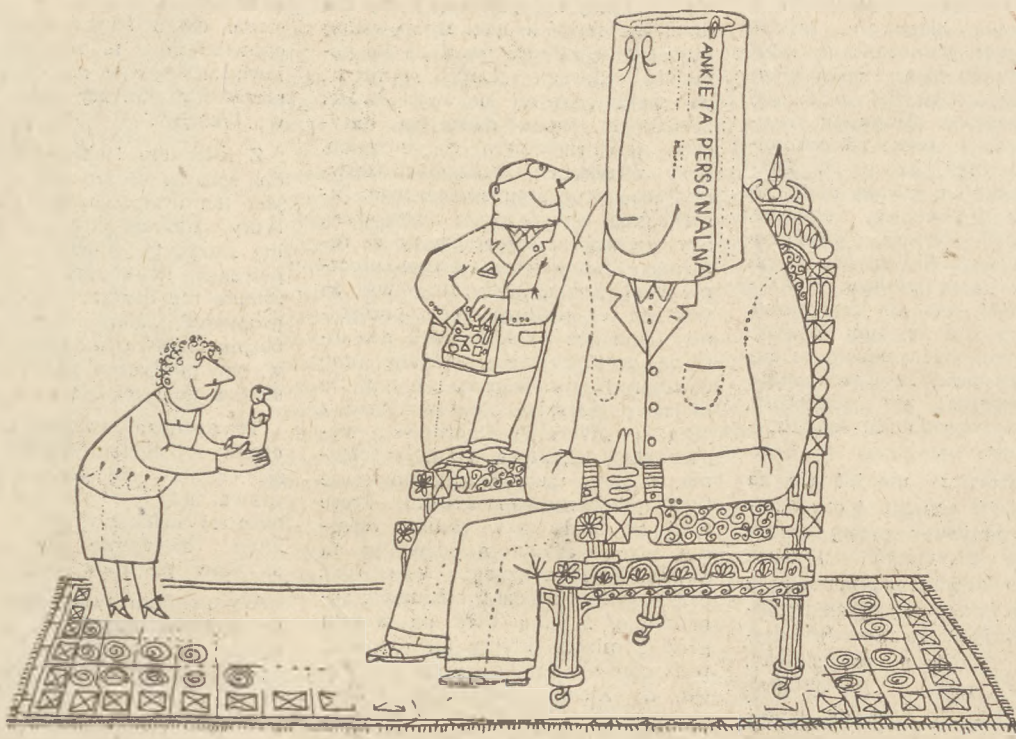
— O to, to — przerywa zadowo-  
lony inspektor Żarek i klepiąc mnie  
po ramieniu, woła:

— Udało się wam. Idiota na me-  
dall!

Wzrusza mnie stały zachwyt zna-  
jomych. Otaczam idiotę coraz więk-  
szą troską. Dostrzegam w nim czo-  
wieka, i z przedpokoju przenoszę  
go do gabinetu. Idiota siedzi w klu-  
bowym fotelu, łapie muchy i prze-  
powiada sobie z pamięci życiorys.

Znajomi bez przerwy składają  
nam dowody uznania. Przynoszą

## ANDRZEJ RUMIAN KAPRYS



Rys. L. Zahorski

Andrzej Rumian

### PO IV ZJEZDZIE ZWIĄZKU PISARZY JUGOSŁOWIAŃSKICH

## Poważne osiągnięcia

Od 15 do 17 września br. nad malow-  
nym jeziorem macedońskim Ochryda o-  
dbył się czwarty zjazd Związku Pisarzy Ju-  
gosłowiańskich. Wzięło w nim udział oko-  
ło 100 delegatów oraz goście. Na popie-  
żającym zjazd posiedzeniu plenarnym  
Zarząd Główny zaaprobował następujący  
porządek obrad: 1. „Między dwoma zjazd-  
dami” — sprawozdanie sekretariatu; 2.  
„Kształt oka na rozwój literatury jugosło-  
wianskiej w latach 1948—1955”; 3. „10 lat  
wojny literatury macedońskiej”; 4.  
„Dziesięciolecie rozwoju literatury dra-  
matycznej”; 5. „10 lat twórczości literac-  
kiej dla dzieci”.

Spodziewano się, iż zjazd przeistoczy  
się w arenę nowych sporów „moderni-  
stów” z realistami (Patrz „N. K.” nr 38).  
Tak się jednak nie stało: z referatów oraz  
dyskusji można wnioskować, że zjazd  
miał przede wszystkim charakter okaz-  
jowy, podsumowujący na nim dziesięcio-  
letnie wysiłki i omawiający osiągnięcia  
organizacji pisarskich.

Na występie zasadniczego referatu wice-  
przewodniczący Związku Pisarzy Ju-  
gosłowiańskich, Milan Bogdanowic, w re-  
trospektywnym rzucie zajął się genezą  
dzisiejszej literatury. Stwierdził on, iż  
literatura powojenna w swoich najlep-  
szych osiągnięciach nawiązuje do twórczo-  
ści bogatego dorobku postępowych i demo-  
kratycznych tradycji przedwojennych. W  
chwili ogłoszenia, opierając się na po-  
zytywnych tradycjach przeszłości, pod  
wpływem nowych prawidłowości litera-  
tury, w literaturę społeczeństwa socjalistycz-  
nego”.

Zajmując się następnie szczegółowo  
rozwojem literatury Bogdanowic dzielił  
jej okres powojenny na kilka podokre-  
sów. W pierwszym z nich praktykowano  
„ściśłą rewolucyjną celowość”, co litera-  
tura żągała, aby czynnie podporządko-  
wała się polityce i służyła jej mniej lub  
bardziej bezpośrednio. Nie dało to zado-  
wających rezultatów. W następnym  
okresie zaczęła zarysowywać się rady-  
kalna zmiana: coraz silniej uwewnętr-  
rzały się nowe dążenia, wysuwano spe-  
cjalne postulaty, wyznajano, że zmie-  
nionych warunków. W takich ok-  
olicznościach — mówi dalej referent  
— doszło do ożywienia dyskusji literac-  
kich, do wypowiadania najroznorod-  
niejszych koncepcji estetycznych i obro-  
ny różniczek w występującej prawie wszę-  
dzie, że w dzisiejszej literaturze ju-  
gosłowiańskiej „znajdują swój wyraz  
różne stanowiska lub zapatrywania este-  
tyczno-literackie mniej lub bardziej cha-  
rakterystyczne dla współczesnej litera-  
tury światowej... występują prawie wszę-  
dzie kierunki literackie od reżimu  
dziewiętnastowiecznego zaczynając, a  
kończąc na modernizmie wszelkiego ro-  
dzaju”.

Bogdanowic, który w dyskusjach „mo-  
dernistów” z realistami broni realizmu  
w sztuce, jako referent nie dokonał  
oceny istniejących ugrupowań, nie  
sprawdził ich społecznej przydatności  
i nie podał im kryteriów. W dyskusji  
Nakreślił po prostu obraz obecnego sta-  
tus quo, wysuwając przy tym myśl, iż  
gorące dysputy, zarte polemiki oraz  
niekończące się spory na temat roli i za-  
dań literatury w ogóle „prowadzą do  
wspólnego, konstruktywnego celu  
znalezienia odpowiedzi na pytanie: jak li-  
teracko najpełniej wyrazić nasz czas”. In-  
nymi słowy — jak z największym zindy-  
widualizowaniem przetworzyć artystycz-  
nie współczesną treść życia, która staje  
się coraz bardziej skomplikowana, subtel-  
niejsza, trudniejsza? I jak tego  
wszystkiego dokonać, będąc zwołenni-  
kiem rewolucyjnego socjalizmu?

Bogdanowic zapytuje: czy postulat ab-  
strakcyjnego szukania odpowiedzi na te  
pytania, kreowania czystej poezji, nie  
zweza społecznej funkcji literatury? Czy  
to nie prowadzi do jej całkowitego odpo-  
liźnienia? I, na odwrót, czy literacko  
przebieganie, wulgarno-realistyczne, w  
światła nie zuboża artystycznych walor-  
ów utworu, sprowadzając zawarty w  
nim ładunek sztuki do minimum? Zda-  
niem referenta także ta druga ewentual-  
ność w równej mierze, co pierwsza —  
prowadzą do zmniejszenia społecznej, wy-  
chowawczej funkcjonalności utworu li-  
terackiego.

Kończąc rozważania na ten temat re-  
ferent dobitnie podkreśla, iż bez względu  
na wielokierunkowość współczesnej li-  
teratury jugosłowiańskiej i różnorodne  
problemy stojące przed nią w obecnym sta-  
dium jej rozwoju, zachowawca ona swą re-  
wolucyjność, jest wolna od wszelkiego  
mystycyzmu i idealistycznych naleciało-  
ści.

W drugiej części referatu mówca przy-  
tacza fakty, świadczące o tym, że dzie-  
sięcioletni okres rozwoju literatury  
cechuje bogactwo form, wielość zjawisk,  
intensywność wysiłków twórczych oraz  
szeroki i wielobarwny wachlarz osiągnię-  
tych rezultatów. Związek Pisarzy liczy  
obecnie 417 prozaików, poetów i innych  
pisańców. W ciągu dziesięciolecia  
wydano 1500 tomów, 1500 utworów  
powieściowych, 1500 tomów poezji, roz-  
praw, esejów, prac krytyczno-literackich.

Do najwybitniejszych osiągnięć powie-  
ściowych należą pozycje: „Kronika traw-  
nicka”, „Most na Drinie” oraz „Przełom-  
ty dziedziczne” — utwory powieściowe  
Iwo Andrića o czasach panowania na-  
jeźdźców tureckich; dwa utwory Dobri-  
cy Cioševića: „Daleko jest słońce” (o te-  
matyce partyzanckiej) i „Korzenie” (na  
tematy historyczne); znana jest również  
„Pieśń”, powieść o okupowanym Belgra-  
dzie Oskara Dawidzica, a także „Przełom-  
” powieść Cioševića, malująca walki party-  
zanckie, oraz „Kurłasy”, cykl powieściowy  
o przedwojennej wsi chorwackiej. To  
są, oczywiście, najbardziej cenne książki,  
do których należy dorzucić cały szereg  
wartościowych pozycji, a także przeszło  
100 utworów historycznych, powieści  
zaczynających najlepsze osiągnięcia litera-  
tury przedwojennej. Referent wspomni-  
ał też o ciekawym rozwoju literatury ma-  
cedońskiej, o której obszerniej mówił jej  
przetawiciel, Dymitr Mitrev.

Literatura macedońska liczy w zasa-  
dzie tyle lat, ile ludowa Jugosławia.  
Przed wojną monarchofaszysty uważa-  
li Macedonów za „południowo-wschodnią  
część Serbii”, dyskryminowano Macedo-  
ńczyków, uniemożliwiano rozwój ich  
kultury i języka. W ciągu walki narodo-  
wo-wyzwoleńczej formowała się nowa  
Macedonia, która — po wypędzeniu oku-  
pantów hitlerowskich i utworzeniu fede-  
racji Jugosławii — jako równorzędny  
partner weszła do bratniej rodziny zszę-  
dzonej republik. Wówczas to, z kilku za-  
sadniczych narcezy, intensywniej niż do-  
tychczas zaczęła kształtować się mace-  
doński język literacki, a więc literatura te-  
go narodu.

Mitrev podkreślił, że jej dziesięciolecie  
rozwoju stanowi skomplikowany, lecz  
wciąż posuwający naprzód proces dosko-  
nalenia się. Najpierw zaczęła powstawać  
liryczna, używająca dużo od ludowego fo-  
liorku, zarówno jeśli idzie o wzniołość,  
jak i artystyczne kształtowanie świata.  
Później dopiero przyszyła proza, która  
początkowo osiągnięcia nie były zado-  
wające, bowiem po części ciążył nad  
nią cytatyzm, powstawała ona pod  
bezpośrednim wpływem doznań wojen-  
nych, dominował w niej impuls liryczny,  
który ją poniekąd sentymentalizował.  
Obecnie proza pozożywa się tych roman-  
tyczno-sienkowskich akcentów. Znamien-  
ne jest to, że ostatnio zaczęto ogłaszać  
większe kompozycje, wciągając tutaj po-  
wieść. Jawi się już beletrystyka histo-  
ryczna, dramat, w którym stopniowo  
przewycięła się wąsko pojęty folklor-  
izm. Liryka również wyzwała się z na-  
śadownictwa folkloru; używając uwar-  
żeń i środków wyrazu zaczyna  
zbliżać się do ludzkiej sprawy, do pro-  
blemów obchodzących cały naród.

O teatrze mówił dramaturg chorwacki  
i krytyk literacki Marian Matković. W  
początkowej części swych uwag odrzucił  
on stanowczo twierdzenie, jakoby istnie-  
ła rzekomo kryzys współczesnej re-  
pertuaru dotyczył również Jugosławii.  
Zdaniem mówcy kryzys ten nie dotyczy  
Jugosławii, albowiem powstało tu szereg  
ambitnych sztuk współczesnych, w któ-  
rych ich twórcy starają się odzwiercie-

ldiole kwiaty i czekoladki. Inspek-  
tor Żarek ofiarował mu nawet bro-  
szurę o rolnictwie, a doktorowa fi-  
gurkę świętego Antoniego na szcze-  
ście. Otrzymuje propozycję wy-  
pótyczania idioty na jakieś przyjęcia  
Z reguły odmawiam, bo nie chcę  
go przeciągać.

Mijają etapy. Spostrzegam, że  
znajomi przychodzą coraz rzadziej  
i nie przynoszą prezentów. Często  
natomiast wyjeżdżają za granicę.  
Doktorowa na przykład bawi w Pa-  
ryżu celem koegzystencji.

Dochodzą mnie złe słuchy. Nie-  
którzy znajomi twierdzą, że ja za  
granicę nie wyjadę, że się skończy-  
łem, że minęły moje dobre czasy,  
ż. teraz moda na inteligencję ułd.  
Zastanawiam się, czy mój idiota  
nie jest przyczyną tych napaści. Na  
wszelki wypadek zamykam go w  
łazience.

Inspektor Żarek, który przywykł  
do codzi nnych gawęd z idiotą, mru-  
ży oczy i mówi:

— Rozumiem was, chcecie prze-  
czekać i znów zabłysnąć. Chytra z  
was sztuka...

Czy nie może pan, panie redakt-  
rze, ogłosić, że znalazłem dla idio-  
ty godziwą pracę i że już nic mnie  
z nim nie łączy?

Interesant spojrział mi błagalnie  
w oczy.

Ogłosiłem.

## Książki

• AN PASEK „PAMIĘTNIKI”.  
Opracował i wstępem opatrzył Ro-  
man Pollak. Ilustrował Adam Mar-  
czyński. PIW 1955, cena zł 27,00.

PIW-owskie wydanie pamiętników  
Paska, to jedna z najpiękniejszych  
tegorocznych edycji.

„Jest ono — czytamy w nocie  
wydawniczej — w założeniach swo-  
ich popularno — naukowe, opiera  
się na rękopisie Biblioteki Narodo-  
wej. Jest to częściowo zachowany  
do naszych czasów odpis Paskowe-  
go dzieła, pochodzący z pocz. XVIII  
w., pisany trzema rękami, niekon-  
sekwentny w pisowni, nasuwający  
niemal trudności, które ostatni wy-  
dawcy, a głównie Czubek, starali  
się usuwać. Tekst niniejszego wy-  
dania został poddany konfrontacji  
z wydaniem Brücknera w B. N.,  
Czubka w B.P.P. A.U. oraz Czapliń-  
skiego w B.W., co pozwoliło w o-  
parciu o rewizję rękopisu wprowadzić  
dość pokątną liczbę poprawek”.

Sposób opracowania przypisów,  
komentarzy i słownika świadczy o  
pietyzmie dla dzieła i trosce o czy-  
telnika.

Sprawą zastępującą na szczegó-  
lną uwagę i wyrazi najużyźszego  
uznania jest wstęp Romana Polla-  
ka: pięćdziesięciostronicowy szkic  
o Pasku, łączący z ogromnym ta-  
lentem elementy studium historycz-  
no — literackiego z walorami prozy  
literackiej. To, co napisał R. Pollak  
o perypetiach życiowych i dziele  
Paska czyta się, jak najbardziej  
zajmujący, świetnie napisany frag-  
ment powieści historycznej.

Ciekawe ilustracje Marczyńskie-  
go, ładna i solidna szata zewnętrz-  
na książki, piękny papier — to dość  
chyba, aby zaspokoić wymagania  
nawet najbardziej wybrednych bi-  
bliofilów.

SAMUEL TWARDOWSKI ZE  
SKRZYPYNI „DAFNIS W DRZE-  
WO BOBKOWE PRZEMIENIA  
SIE”. Opracowali Roman Pollak  
i Stefan Saki. Zakład im. Ossoliń-  
skich 1955, cena zł 33.

Obecne wyłanie „Dafnidy” jest  
pierwszym od dwustu pięćdziesięciu  
lat. We wstępie bibliograficznym,  
poprzedzającym tekst znajdują się  
informacje dotyczące poszcze-  
gólnych fragmentów pierwodruku,  
odpisów, które posłużyły jako mate-  
riał do studiów nad genezą i ewolu-  
cją tekstu, a następnie uwagi o gra-  
fice i ortografii.

Następnie znajdzie czytelnik re-  
produkcję fototypiczną fragmentu  
wydania pierwszego i tekstu wyda-  
nia drugiego.

Dalszą część książki wypełniają:  
omówienie błędów drukarskich wy-  
dania drugiego, objaśnienie, indeks  
wyrazów i form oraz spis stosowa-  
nych skrótów.

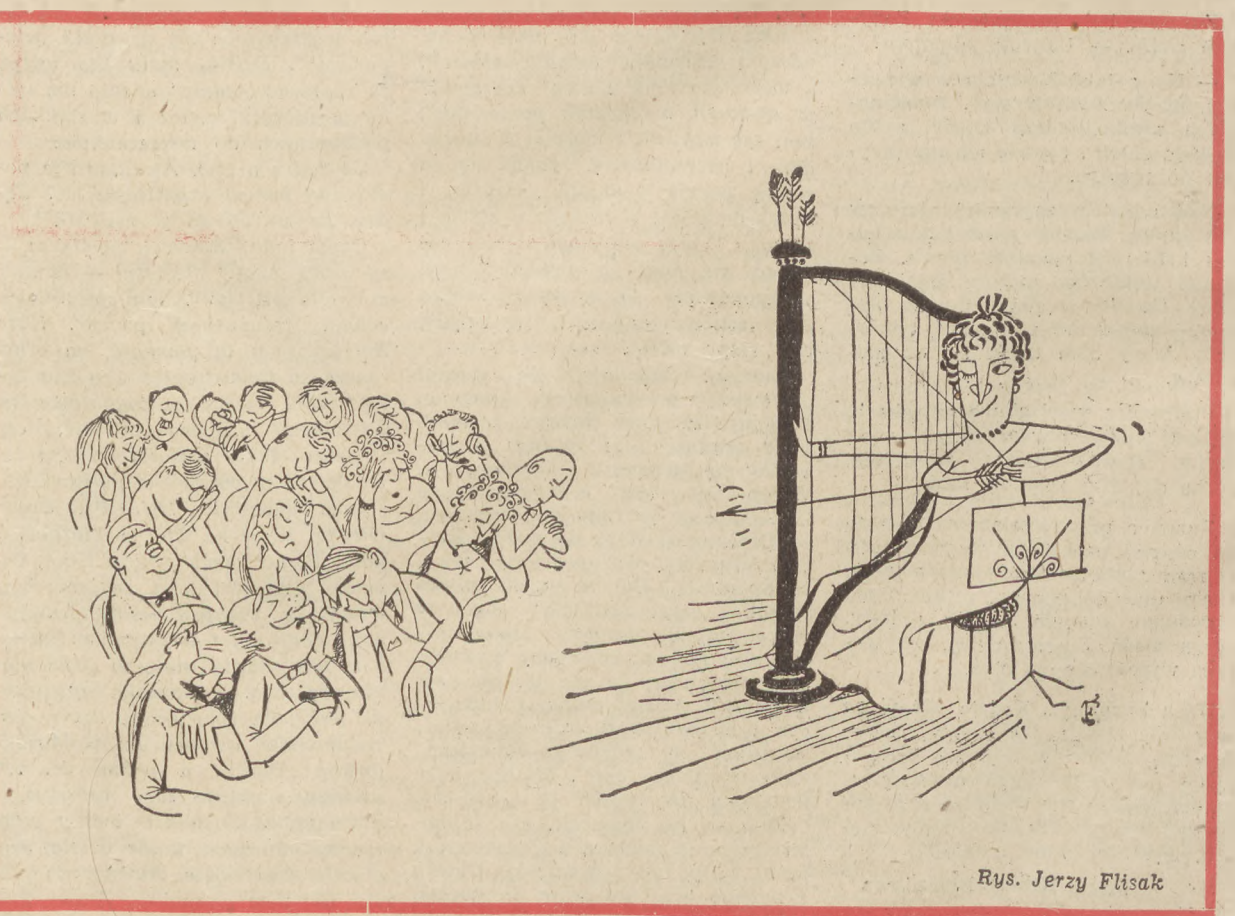
LEONARD PODHORSKI - OKO-  
ŁÓW „REALIA MICKIEWICZOW-  
SKIE” II „Wpadam do Soplicowa”  
PIW 1953, cena zł 4,40.

Na drugi tom „Realiiów” składa-  
ją się szkice dotyczące „Pana Ta-  
deusza”. Były one w większości pi-  
sane i drukowane przed wojną, w  
latach 1929—34 w pismach takich  
jak: „Wiadomości literackie”, „Ku-  
rier Warszawski” i „Ruch literac-  
ki”. Autor przygotowując je obe-  
nie do wydania książkowego doko-  
nał w nich znacznych przeróbek.  
Jednak — jak pisze we wstępie —  
„ogólny ich charakter pozostał nie-  
zmieniony. Stanowią one fragmen-  
taryczne opracowanie części ma-  
teriału gromadzonego do zamierzo-  
nej swego czasu autobiografii pt.  
„Pierwiastek autobiograficzny w  
„Panu Tadeuszu”. Tym tłumaczyć  
się może częściowe wrażenie pew-  
nej jednostronności, jakie odnieść  
można z lektury niniejszego tomu”.

Zresztą jednostronności nie przy-  
padkowej, wynikającej z pietyzmu  
dla wielkiego poety i jego dzieła,  
w którym starał się zachować „p-  
miątkę dawnych naszych zwyczaj-  
ów i skreślić jakkolwiek obraz na-  
szego życia wiejskiego, łowów, za-  
baw, bitew, najazdów etc.”.

A. D.

K. Nast.



Rys. Jerzy Flisak

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 12. Telefony: Sekretariat 886-11, 824-11. — Red. naczelny 879-38. Adres administracji, Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-53-30. Wydaje RSW „Prasa”. Kolportaż PUPiK „Ruch”. Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 8-64-01. Warunki prenumeraty pocztowej: miesięcznie 4,60 zł, kwart. 13,80 zł, półrocz. 27,60 zł, rocznie 55,20 zł. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm<sup>2</sup>. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa”, Warszawa, ul. Poznańska 38, konto PKO 1-111-5689, tel. 23-09. Rękop. niezamów. redakcja nie zwraca.